Everett B. Cole

Gracze

(The Players)

Astounding Science Fiction, April 1955
Ilustracje: Solo
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Playboy jest kimś kto posiada władzę, zbyt dużo czasu do swojej dyspozycji, i zbyt małego poczucia jakiegoś wartego do osiągnięcia celu. Jeżeli przy tym zdarzy się, że Playboy należy do wysoko zaawansowanej cywilizacji…

Z wąskich uliczek, prowadzących do wielkiego rynku Karth, wylewał się barwny tłum ludzi –– kupujących, zwykłych wałkoni, pasterzy, rzemieślników, kupców. Napływali ze wszystkich stron, niektórzy po to aby zebrać się dookoła fontanny, inni aby rozejrzeć się po sklepach z winem, wielu po to by wypróbować różne towary, albo kupić je od handlarzy, których stragany i namioty gęsto pokrywały bruk placu.

Przez bramę przecisnęła się karawana i zatrzymała się. Zmęczone zwierzęta cierpliwie czekały, aż kupcy znajdą jakieś puste miejsce, w którym mogliby rozłożyć kramy. Z innej bramy wyłonił się pasterz, prowadzący swój żywy towar przez tłum. Jego zwierzęta robocze warcząc biegały wokół stada, utrzymując je razem i poganiając dalej.

Musa, kupiec z Karth, siedział przed swoim sklepem ze skrzyżowanymi nogami, obserwując całą tę kolorową scenerię, ze spokojnym rozbawieniem. Interesy w mieście szły dobrze, a jego były sympatycznie powyżej średniej. Karawany z zachodu przybyły bez przeszkód, i wymieniały teraz przywiezione dobra, za towary ze wschodu, które on miał na składzie. Klienci z samego miasta, jak i z otaczających je wzgórz, przychodzili więc do niego, oferując za jego dobra, żywą gotówkę. Zerknął z powrotem, do swojej budki, usatysfakcjonowany tym co zobaczył, a następnie wrócił do swojego obojętnego kontemplowania placu. Wydawało się, że nikt się nim specjalnie nie interesował.

Klientów było naprawdę wielu. Ludzie przystawali, krytycznie przyglądając się wystawionym rzeczom, a potem ruszali dalej, albo zostawali aby się potargować. Jeden z nich zatrzymał się przed Musą, z oczyma utkwionymi raczej w samym kupcu, niż w jego towarach.

Potencjalny klient był mężczyzną średniego wzrostu. Jego dosyć pociągła ale świetnie się prezentująca twarz, pozostawała w niezgodzie z pewną widoczną masywnością ciała. Wygląd przybysza nie był jednak jakiś nienormalny. Sprawiał po prostu wrażenie człowieka o surowych zwyczajach fizycznych i ascetycznych. Ubranie jakie miał na sobie podobne było do noszonych przez pasterzy, albo może nawet właścicieli stad, z północnego Galankaru.

Musa wstał, aby wyjść mu naprzeciw.

– Może jakieś koce do spania? Albo doskonale wykończony brązowy dzban ze Wschodu?

Obcy skinął przytakująco.

– Niewykluczone. Ale chciałbym przez chwilę się rozejrzeć, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Musa zrobił krok na bok.

– Jesteś tutaj bardziej niż mile widzianym gościem, mój przyjacielu – zgodził się. – Może coś z moich niegodnych towarów poruszy twoją wyobraźnię.

– Wielkie dzięki. – Obcy wszedł do środka.

Musa stał we wejściu, obserwując go. Kiedy mężczyzna chodził tak z miejsca na miejsce, kupiec zauważył, że zdaje się on emanować niewątpliwą pewnością siebie. Zdecydowanie roztaczał wokół siebie aurę władzy i możliwości. Ten człowiek, zdecydował handlarz, nie mógł być zwyczajnym pasterzem. Rządził czymś więcej niż tylko owcą.

– Jesteś właścicielem stad z Północy? – spytał go.

Obcy mężczyzna odwrócił się do niego, lekko się uśmiechając.

– Nazywam się Lanko – odparł. – Tak, przybywam z Północy. – Przesunął ręką, wskazując na wystawione produkty, i skierował na kupca pytający wzrok. – Wydaje się dziwne, że wszystkie twoje towary pochodzą ze Wschodu. W całym sklepie widzę bardzo niewiele rzeczy z Zachodu.

Zazwyczaj Musa nie szukał rady u obcych, uważając, że jego sprawy nie są własnością publiczną, a jedynie jego samego. Jednak w tym człowieku, Lanko, było coś takiego, że skłoniło go to, do porzucenia zwykłej rezerwy.

– Planuję wyprawę handlową nad Morze Wschodnie – zwierzył się przybyszowi. – Oczywiście zawożenie towarów ze Wschodu, na Wschód, byłoby zwykłą stratą czasu, rezerwuję więc moje towary z Zachodu dla potrzeb tej karawany, a pozbywam się rzeczy ze Wschodu.

Lanko skinął głową.

– Rozumiem. – Wskazał ręką na małą szkatułkę z najwyższej klasy biżuterią. – Ile byś chciał za te kolczyki?

Musa sięgnął do szkatułki, wyciągając pieczołowicie wykończone błyskotki ze złota i pereł.

– To pochodzi z Norlaru. Rzadko widujemy u nas biżuterię tej klasy – powiedział. – Za tę parę, muszę zażądać dwadzieścia balata.

Lenko delikatnie zagwizdał.

– Nic dziwnego, że masz zamiar wyruszyć w tę wyprawę na Wschód. Założyłbym się, że przyniesie ci niezłe dochody. – Wskazał ręką. – A ten miecz, tam na górze?

Musa roześmiał się.

– Wahasz się przy dwudziestu balata, a potem pytasz o coś takiego?

Przeszedł przez pawilon, zdejmując miecz ze ściany. Wyciągnął go z pochwy, i pokazał niezwykle długą, smukłą klingę.



– On również przybył do nas z Nolaru. Ale płatnerz, który go wykonał mieszka jeszcze dalej na wschód. Za Wielkim Morzem.

Chwycił ręką za ostrze, wyginając je w pałąk.

– Spójrz tylko – polecił, – jak to ostrze żyje. To nie jest jeden z wyrobów z miękkiego brązu, albo surowo obrobionego żelaza z północnych wzgórz. To żywy metal, który przetnie włos, a nie złamie się na najtwardszym nawet hełmie.

Lanko okazał zainteresowanie.

– Powiadasz zatem, że ten miecz musiał zostać wykonany za Wielkim Morzem? W jaki więc sposób znalazł się w Nolarze, a potem tutaj?

Musa pokręcił przecząco głową.

– Nie jestem pewien – przyznał. – Pojawiają się pewne pogłoski, że kapłani boga morza Kondaro, modląc się do swojego bóstwa, prowadzeni są przez morze do nieznanych ziem.

– I biorą ze sobą kupców?

– Tak mi mówiono.

– A teraz planujesz podróż do Nolaru, aby sprawdzić tę pogłoskę, a potem może wypuścić się w morską podróż?

Musa pogłaskał swoją brodę, zastanawiając się, czy ten człowiek aby nie potrafi czytać myśli.

– Tak – przyznał w końcu. – To właśnie przyszło mi do głowy.

– Rozumiem.

Lanko wyciągnął rękę po broń. Kiedy Musa podał mu miecz, skierował go ku tyłowi pawilonu i ciął nim w złożonym układzie szermierczym. Musa obserwował to, zaintrygowany. Doświadczony szermierz, za jakiego się uważał, znał wszystkie elementy sztuki fechtunku mieczem. Miecz lekko się wygiął, ze śpiewem przecinając powietrze.

– Kupcze, podoba mi się ten miecz. Jaka byłaby jego cena?

Musa poczuł pewne rozczarowanie. To był jakiś dziwny handel. Ludzie po prostu nie wchodzili sobie do sklepu, i nie oznajmiali, że potrzebują określonych artykułów. Wręcz przeciwnie, udawali obojętność, przebierali w towarach niby to przypadkowo, pogardliwie. Oglądali wiele różnych rzeczy, pytając o ceny. Czasami mogli się troszeczkę potargować, żeby wypróbować handlarza. Wygłaszali uwagi o rabunku, i o towarach jakie widzieli wcześniej na kramach innych kupców. Nieodmiennie były one dużo lepsze i znacznie tańsze.

Normalny klient zbliżał się do rzeczy której pożądał, powoli i z najwyższą niechęcią.

A tutaj, pojawia się ktoś taki.

– *No cóż* – powiedział sobie Musa w duchu, – *wykorzystaj to jak najlepiej*.

Wzruszył tylko ramionami.

– Dziewięćset balata – oznajmił stanowczo, dopasowując się do szczerej bezpośredniości tego niezwykłego klienta, a tak mimochodem podwajając cenę miecza.

Lanko przyjrzał się dokładnie rękojeści miecza. Pstryknął paznokciem w jego klingę. Zabrzmiało melodyjne *ping*.

– Musisz cenić ten kawał żelastwa dużo bardziej niż ja – skomentował, nie odrywając wzroku od miecza. – Ja oceniam jego wartość jedynie na dwieście balata.

Musa poczuł ulgę, na ten powrót do znajomego sposobu postępowania. Uniósł ręce do góry, w geście przerażenia.

– Dwieście! – rozpaczliwie zawołał. – Przecież tyle pokryłoby chyba co najwyżej koszty uczniów rzemieślnika. A do tego wszakże jest jeszcze mistrz kowalski i ludzie, którzy tę broń tutaj dla ciebie sprowadzili. Nie, przyjacielu, jeżeli chcesz mieć tego księcia wśród mieczy, musisz się spodziewać, że będzie on odpowiednio kosztował. Nikt nie może… – Przerwał. Lanko wkładał broń do pochwy, a jego całe ciało wyrażało postawę niechętnej rezygnacji.

Musa zmniejszył tempo wypowiadanych słów.

– Chwileczkę – powiedział delikatnym tonem. – Pomimo wszystko wyprzedaję teraz moje zapasy wschodnich towarów. Przypuśćmy, że zmniejszymy cenę do ośmiuset pięćdziesięciu?

– Czy mówiłeś coś o dwustu pięćdziesięciu? – Lanko uniósł schowany w pochwie miecz, odwracając się do światła, żeby przyjrzeć się wykończeniu skóry.

Negocjacje cenowe trwały dalej. Na zewnątrz, tłumy na ulicach miasta nieco się przerzedziły, ponieważ ludzie zaczęli już zmierzać na swój wieczorny posiłek. Miecz był dokładnie badany, a po chwili sprawdzany ponownie. Wysuwał się ze swojej pochwy, i do niej wracał. W końcu, Musa westchnął:

– No cóż, w porządku. Niech będzie pięćset, i idę z tobą na kolację. – Pokręcił głową z niemal doskonale udawana rozpaczą. – Może winiarnia sprawi się lepiej, niż ja.

– **G**ospodyni, tu Pies Podwórzowy. Odbiór.

Pracujący przy warsztacie człowiek rozejrzał się wokół siebie. Potem odłożył na bok trzymane w rękach narzędzia i wyciągnął mały mikrofon.

– Tu Gospodyni – oznajmił.

– Wchodzę do środka.

Robotnik przypiął mikrofon do kurtki i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, do małego panelu. Pstryknął przełącznikiem, popatrzył krótko na ekran wizyjny i przerzucił kolejny przełącznik.

– Ekran opuszczony – zakomunikował. – Możesz wchodzić, Lanko.

W ścianie pojawiło się przejście, w którym widać było fragmenty straszliwie ponurego krajobrazu. Nagie skały, wystające z lodu, oczyszczone do czysta ze śniegu przez podmuchy świszczącego wiatru. Do środka pomieszczenia buchnęło intensywne zimno, a potem wskoczył do niego człowiek, i ściana za jego plecami ponownie odzyskała swoją solidną strukturę.

Przez chwilę stał nieruchomo, rozglądając się po pomieszczeniu, a następnie zrzucił z ramion lekką szatę, i zaczął zdejmować ekwipunek.

– Cześć, stary – usłyszał. – Jak tam idą sprawy, jeżeli chodzi o Karth?

– Nic specjalnego – wzruszył ramionami Lanko. – Ten obszar robi się tak samo pokojowy, jak jest monotonny.

Odpiął swój akumulator i podłączył go do generatora energii.

– Nie ma żadnej wojny, ani nawet pogłosek o niej – mówił dalej. – Miasteczko robi się moralne –– bardzo moralne, prawdę mówiąc –– a jego rozwój i transformacja w ważne centrum handlowe, jest już w toku.

Kopnięciem zrzucił sandały, wydostał się z workowatych tubylczych spodni i na szczyt kopczyka ubrań dodał jeszcze koszulę.

– Koniec z wymuszeniami. System podatkowy działa w sposób, w jaki go oryginalnie zaplanowano, a kupcy wręcz tłoczą się w bramach.

Podszedł do ściany i skinął ręką na zewnątrz. Pojawiło się w niej przejście i wszedł w nie.

– Za chwilę wracam do ciebie, Banasel – zawołał do tyłu, przez ramię. – Chciałbym tylko trochę się obmyć.

Banasel skinął głową, i wrócił do stołu warsztatowego. Wziął jedną z leżących na nim małych części, sprawdził ją, dotknął delikatnie kilka razy miękkim pędzelkiem i zabrał do urządzenia, nad którym pracował.

Wcisnął ją na miejsce, i zaczął sprawdzać kolejny komponent, gdy ciche szuranie obwieściło powrót jego towarzysza.

– O, tak – stwierdził z rozkoszą Lanko. – Spotkałem twojego starego kumpla, Musę. Radzi sobie całkiem nieźle.

Banasel odwrócił się w jego stronę.

– Nie wiedziałem go od czasu, kiedy wstąpiliśmy do Korpusu. Co on porabia?

– Handel. – Lanko otworzył szafkę, krytycznie przyglądając się, wiszącym w środku ubraniom. – Korzystając z ładunku towarów, które mu daliśmy dawno temu, otworzył sklep, i robi naprawdę dobre interesy handlowe. Obecnie planuje podróż za Wschodnie Morze. Sugerował, że krążą pogłoski o istnieniu cywilizacji, dalej za Nolarem.

– Na morzu nie ma niczego, przez kilka tysięcy kilos – warknął Banasel, – za wyjątkiem kilku małych wysepek. – Skinął kciukiem w stronę warsztatu. – Nie mogę ci tego teraz pokazać, ponieważ rozłożyłem skaner, żeby go wyczyścić, ale przez pierwsze dwa tysiące K’s nie ma nawet żadnej wyspy. Prądy również są nieodpowiednie. Nikt nie zdoła przepłynąć morza, bez przyrządów nawigacyjnych.

– Wiem – zapewnił go Lanko. – Co prawda już od dłuższego czasu nie sprawdzaliśmy terenów w tamtym kierunku, ale ciągle jeszcze pamiętam jak to wygląda. Oczywiście, nie określiłem tego dokładnie w ten sposób,

ale spytałem Musę, w jaki sposób planuje się przedostać przez Wschodnie. I otrzymałem od niego odpowiedź.

Przerwał, zbierając ubrania, które wcześniej z siebie zrzucił.

– Wydaje się, że w Norlar pojawili się jacyś nowi kapłani, którzy na coś wpadli – mówił dalej. – To wszystko otoczone jest symboliką religijną, a oni nie pozwalają na to, aby wyciekły żadne szczegóły, ale potrafią jakoś przeprowadzić statki przez morze, i sprowadzają je z powrotem wyładowane do pełna towarami, które z całą pewnością nie mogą pochodzić z Galankar, ani z żadnego miejsca dostępnego z Galankar.

Powiesił w szafce ostatnią część swojego ubrania i odwrócił się, trzymając w ręku pochwę z mieczem.

– Musa sprzedał mi to – powiedział, wyciągając go rękojeścią w stronę Banasela. – Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego na tej planecie. A ty?

Banasel wziął broń i wyciągnął ją z pochwy. Przyjrzał się dokładnie wykończeniu rękojeści, a potem pstryknął paznokciem, w ostrze. Po usłyszeniu melodyjnego *ping*, technik popatrzył na miecz z większym zainteresowaniem. Delikatnie wygiął klingę, czekając na oznaki wystąpienia naprężeń. Lanko wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– No, dalej – zachęcił przyjaciela, – możesz potraktować go bardziej brutalnie. To co trzymasz, drogi kolego, to jest miecz, a nie jeden z tych rozbijaczy czaszek z brązu.

Banasel wyciągnął rękę z mieczem i smagnął nim w powietrzu, jak biczem. Przecinając powietrze, klinga wygięła się, wyprostowała, a następnie wygięła ponownie.

– No, no – wyszeptał. – Naprawdę coś nowego.

Położył miecz na stole warsztatowym i wyjął z szafki jeden z przyrządów. Przez kilka minut zajmował się wykonywaniem pomiarów i wklepywaniem danych do swojego komputera. Usiadł, spoglądając na miecz z coraz większą ciekawością. W końcu popatrzył na komputer, a następnie odstawił z powrotem do szafki przyrząd, którego używał, biorąc zamiast niego kolejny. Po wykonaniu dalszych pomiarów, ponownie popatrzył na ekran komputera i pokręcił z niedowierzaniem głową, odwracając się do Lanko.

– To jest – oznajmił, powoli wypowiadając słowa – doskonała stal, najwyższej jakości. Oczywiście, może to być przypadkowo uzyskany stop, ale nigdy bym nie pomyślał, że ktoś na tej planecie, mógłby dysponować na tyle rozwiniętą technologią, aby otrzymać go, ot tak po prostu. – Odsunął miecz daleko od siebie, przyglądając mu się bliżej. – Zakładając nawet, że skład stopu jest przypadkowy, to przypadek jeżeli chodzi o precyzyjne utrzymanie temperatury przed schłodzeniem, albo znalezienie kogoś, kto wykończając otrze będzie je przekuwał i uszlachetniał, z taką precyzją, aby po zakończeniu tego procesu uzyskać odpowiednią twardość… Och, w porządku, to wszystko jest możliwe. Ale naprawdę jest to mało prawdopodobne. Musa mówił ci, że to pochodzi zza morza?

– Zgodnie z jego najlepszą wiedzą. Ma go od handlarza, który twierdził, że brał udział w wyprawie za Wschodnie Morze.

Banasel odchylił się do tyłu, zakładając ręce za głowę.

– Trochę chyba sobie z Musą pogadałeś. Czy pamiętał cię?

Lanko pokręcił głową.

– Nie opowiadaj głupstw – chrząknął w odpowiedzi. – Przecież ty i ja wymazaliśmy mu pamięć, co nie pamiętasz? Tak samo jeśli chodzi o kilka spraw jakie wydarzyły się w tamtych czasach, w związku z Atakar. Oczywiście, Musa ma w głowie pełną i kompletną przeszłość, ale my nie jesteśmy jej częścią.

Przerwał na chwilę, a potem opowiedział dokładniej.

– Nie, on ma pawilon handlowy na rynku w Karth. Przechodziłem obok, tak tylko oglądając sobie towary, i rozpoznałem go. A więc zajrzałem do znajomego. Stargowałem mniej więcej do połowy początkową cenę tego miecza, co ciągle pozostawiło mu krociowe zyski. Poszedł ze mną na kolację, nieustannie opłakując oszustwo i straty, na jakie go naciągnąłem. Mówiłem ci przecież, że on jest handlarzem. Pewnie, że trochę sobie pogadaliśmy. Ale jesteśmy obcymi ludźmi.

– Taaa. – Banasel popatrzył w bok, niewidzącymi oczyma. – Pomyśl tylko, jakie to zabawne. Ty i ja urodziliśmy się na tej planecie. Zostaliśmy tu przeniesieni, i całe mnóstwo ludzi kiedyś nas tutaj znało. Ale oni wszyscy o nas zapomnieli, i nie należymy już do tego miejsca. Zaczynam teraz rozumieć, co oznacza powiedzenie „samotne życie strażnika”.

Przez pewien czas siedział w milczeniu, a potem popatrzył na swojego towarzysza.

– Jak myślisz, czy ci kapłani w Norlar, to może być coś, co powinno nas zainteresować?

– Może być – skinął głową Lanko. – Z Konassa wychodzi w morze wiele statków, a jest też kilka innych, mocno eksploatowanych portów, o których wiemy. Ale nikt wcześniej nawet nie myślał o żeglowaniu poza zasięgiem widoczności lądu, a co dopiero tego próbował. Sztuka nawigacji w zasadzie opiera się tylko na pilotażu, a i to raczej dosyć pobieżnym. A teraz wyskakuje taka sprawa.

Podszedł do stołu warsztatowego, wziął do ręki miecz i machnął w powietrzu jego klingą.

– W normalnej sytuacji – zadumał się – wiedza techniczna krąży po świecie. Część z niej zostaje stworzona tu, część tam. Potem pojawia się ktoś, kto scala to wszystko razem. A ktoś inny dodaje coś do tego. I tak dalej.

Podrapał się po nosie.

– Ale, czasami tak bywa, że pojawia się jakieś anormalne źródło wiedzy, albo kształtują się jakieś niezwykłe warunki, tak że wiedza ta jest bardzo pieczołowicie strzeżona. To może być jeden z tego typu przypadków, i ci kapłani być może mają kontakty z kimś, kto bardzo mocno pozostaje w kręgu naszych zainteresowań.

Urwał.

– Czy jest gorąca maedli?

– Pewnie. – Banasel zdjął czajnik z pieca i nalał dwa kubki.

– Myślisz, że powinniśmy utworzyć gdzieś w pobliżu Nolaru bazę i przyjrzeć się sytuacji?

– To chyba byłby dobry pomysł. – Lanko wziął kubek, pociągnął łyk i gwałtownie wstrząsnął głową.

– Uuuch! Powiedziałem gorąca, a nie wrząca.

Podmuchał w kubek i odstawił go na stół, żeby trochę ostygł.

– Te góry, stanowiły świetną bazę – mówił dalej, – ale okoliczne tereny zdają się rozwijać w idealny sposób. Nie ma żadnych zewnętrznych ingerencji, wszystkie ślady dawnych ingerencji zostały wyeliminowane i nie pozostało nam specjalnie wiele wymówek, żeby nadal tutaj sterczeć. – Ponownie wziął kubek do ręki i ostrożnie spróbował jego zawartości. – Najwyższy więc czas, żebyśmy ruszyli się trochę i sprawdzili resztę planety.

Banasel odwrócił się z powrotem w stronę warsztatu.

– Dobry pomysł – zgodził się ze swoim towarzyszem. – Złożę tylko ten skaner do kupy, i będziemy gotowi do pakowania. – Wziął do ręki swoje narzędzia. – O ile pamiętam, Norlar przecina centralny masyw górski, którego nikt wcześniej jeszcze nie przeszedł. Będziemy więc mogli usadowić się na samej wyspie.

Na wschodnim zboczu Midra Kran widać było wyraźnie chmurę kurzu, ciągnącą się za karawaną, która podążała w górę krętym traktem, wiodącym przez przejście w górach. Zdradziecki charakter wąskiego szlaku, potwierdzały sporadyczne obślizgnięcia się, po których następowały wybuchy zaskoczonych przekleństw.

Musa stał w strzemionach, spoglądając naprzód, na długi trakt, który przez jakiś czas wił się jeszcze pod górę, a potem opadał na szeroki płaskowyż Jogurthański. Daleko przed nimi, kiepsko oznakowany szlak przecinał, jak wiedział, kolejny łańcuch górski, Soruna Kran, blokujący drogę nad Wschodnie Morze.

Obejrzał się do tyłu, na rozciągniętą karawanę.

– Lepiej każ im, żeby zbliżyli się do siebie, Baro – zauważył. – Jeżeli banda rabusiów złapie nas tak mocno rozproszonych, będziemy mieli mnóstwo kłopotów.

Drugi z kupców skinął głową i zawrócił swojego wierzchowca. Natychmiast jednak wstrzymał go, słysząc krzyki dobiegające z końca kolumny. Z krzykami mieszał się szczęk broni.

– Dalej – zawołał Musa. – To już się stało.

Kopnął swojego wierzchowca piętami w żebra, obrócił go dookoła i porzucając wytyczoną drogę, ruszył bezpośrednio pod górę stromym zboczem. Bandyci mogli wysłać wcześniej łuczników, żeby zajęli się każdym, kto chciałby podjąć próbę ucieczki po wąskim szlaku, a on nie miał ochoty sprawdzać jak dobrze potrafią celować.

Kiedy jego zwierzę wspinało się po zboczu, Musa dojrzał człowieka stojącego na stromej skale, czujnie obserwującego środek karawany. Jego domysły były słuszne. Strategia przywódcy bandytów, polegała na tym,

aby przeciąć karawanę na pół, a następnie rozprawić się najpierw z tylną strażą. Kiedy obserwator zaczął celować do czegoś, w dole szlaku, Musa szybko uniósł swój własny łuk i posłał strzałę, by zdjąć tego człowieka, zanim zdąży wystrzelić.

To był dobry strzał. Kiedy ugodziła go strzała, mężczyzna nawet nie jęknął, tylko na moment złapał trzonek strzały tkwiącej w jego boku, a potem upadł, ześlizgując się po ścianie niskiego klifu. Musa, w asyście swoich strażników, popędził w górę zbocza.

Kiedy pokonali grzbiet wzgórza, znaleźli się twarzą w twarz z grupą sześciu ludzi, zwijających się właśnie, aby wyciągnąć swoje łuki i skierować je na niespodziewane cele. W powietrzu zaświstały strzały i dwóch z nich poleciało na ziemię, a po chwili kupcy wpadli już na pozostałych, wymachując mieczami, zbyt blisko by tamci mogli użyć łuków.

Jeden z bandytów zamachnął się gwałtownie mieczem na Musę, który wyciągnął z pochwy bliźniacze ostrze, do sprzedanego w niedawnej przeszłości w Karth. Smukły kawałek stali zadźwięczał na brązowej klindze bandyty, odbijając ją, a następnie Musa zadał błyskawiczne pchnięcie, które przeszło przez skórzaną tarczę napastnika i wbiło się w jego ciało. Broń z brązu zawisła na chwilę nieruchomo, a potem jej właściciel zatoczył się. Musa gwałtownie szarpnął się w tył, uwalniając swój miecz i wykonał krótkie cięcie. Przez moment bandyta przysiadł na wierzchowcu, wpatrując się w przeciwnika. Potem jego ciało zwiotczało i bezwładnie spadł z siodła.

Cała akcja rozwijała się błyskawicznie. Pozostał już tylko jeden bandyta, zręczny szermierz, którym zajmował się Baro. Musa szybko przejechał za plecami napastnika, zadając mu pchnięcie w chwili kiedy go mijał. Baro popatrzył na niego nad bezwładnym ciałem bandyty.

– No i dlaczego musiałeś to zrobić? – dopytywał się. – Miałem taką dobrą zabawę.

– Lepiej zjedźmy z powrotem na dół, na szlak – zaproponował mu Musa. – Tam możemy mieć cudowną zabawę. – Wskazał ręką w dół.

Tylna straż karawany, była w tarapatach. Kilku strażników leżało już w pyle ma szlaku, a ci którzy przeżyli, byli mocno naciskani przez całą gromadę zdeterminowanych ludzi uzbrojonych w miecze.

Baro zrobił kółko i zaczął pędzić w dół zbocza, mając zaraz za sobą resztę grupy.

Otoczeni bandyci walczyli desperacko, ale nie mieli żadnych nadziei. Szarża ze wzgórza wytrąciła ich z równowagi, i nie dostali najmniej szansy na to, aby się pozbierać. Po wszystkim Musa i Baro ocenili skutki napadu.

Stracili kilku strażników. Jeden z kupców, Klaron, został zabity przez strzałę, wypuszczoną zaraz na początku ataku. Kilku z ocalałych było rannych.

– Będziemy musieli wynająć paru dodatkowych strażników i woźniców, w Jogurth – powiedział Baro. – No i co zrobimy z towarami Klarona?

– Możemy je rozdzielić i sprzedać w Jogurth – odparł Musa. – Klaron ma brata w Karth, który może skorzystać z tych pieniędzy, a pieniądze są dużo łatwiejsze do przewiezienia niż towary. Spotkasz się z nim, po twojej podróży powrotnej.

Baro skinął potwierdzająco głową i ruszył wzdłuż kolumny, organizując karawanę. W końcu, kiedy wszyscy ponownie byli już gotowi do drogi, podjęli dalszą powolną wędrówkę w stronę płaskowyżu.

Karawana podążała dalej, dotarła na płaskowyż, gdzie kupcy zaczęli podróżować nocą, a odpoczywać w ciągu dnia, aby uniknąć wysiłku związanego z panującym za dnia gorącem.

Przybyli w końcu do miasta Jogurth, które dla większości z nich stanowiło koniec wędrówki. Stąd mieli wracać do Karth, a część z nich czekała podróż do domów znajdujących się jeszcze dalej na zachód. Musa spędził kilka dni w miasteczku, wymieniając pozostałe mu resztki towarów ze wschodu, za lokalnie produkowane artykuły i pomagając w sprzedaży towaru Klarona. W końcu przyłączył się do innej karawany, kierowanej przez starego kupca, Kerunara, który zazwyczaj podróżował między Jogurth i Manotro, miastem na wschodnim wybrzeżu.

Podróż przez Soruna Kran przebiegała bez żadnych zakłóceń i Musa w końcu zobaczył blask Wschodniego Morza. W Manotro nie zatrzymał się na dłużej, ponieważ odkrył, że niewielkie statki kanałowe pływają z dużą częstotliwością, i udało mu się szybko skierować swoje zwierzęta juczne na nabrzeże, gdzie bele jego towarów, zostały przyjęte na ładunek. Po pozostawieniu tam swoich dóbr, odprowadził zwierzęta z powrotem, na rynek.

Stary Kerunar, kiedy zobaczył Musę, pokręcił przecząco głową.

– Bądź ostrożny, synu – ostrzegł go. – Przyjeżdżam tutaj od dwudziestu lat. Dawniej bywałem nawet z towarami w Nolarze. Ale nie zabrałbyś mnie tam teraz, nawet za tysiąc caldorów.

– Tak? – Musa popatrzył na niego z ciekawością. – A co tam się dzieje?

Kerunar obrzucił wzrokiem swój świeżo ustawiony pawilon. Dookoła na ścianach wisiały błyskotki i trwalsze towary z kilkunastu różnych miast. Były tam nawet artykuły z odległego Telon, w zatoce Konassańskiej. Spojrzał ponownie na Musę.

– Norlar – oświadczył w końcu, – wpadł w ręce złodziei i morderców. Możesz tam handlować, to absolutnie pewne. Możesz nawet solidnie zarobić. Ale nigdy nie możesz być pewnym, czy przypadkiem nie sprowokujesz chciwości Kondarian, ani nie wzbudzisz ich gniewu. A oni mają tam całe mnóstwo dziwnych praw, które mogą wykorzystać przeciwko każdemu i przy pomocy których mogą wymusić konfiskatę twoich towarów. Tych, którzy protestują przeciwko tego typu działaniom, albo kwestionują ich prawa, czekają śmierć lub niewola.

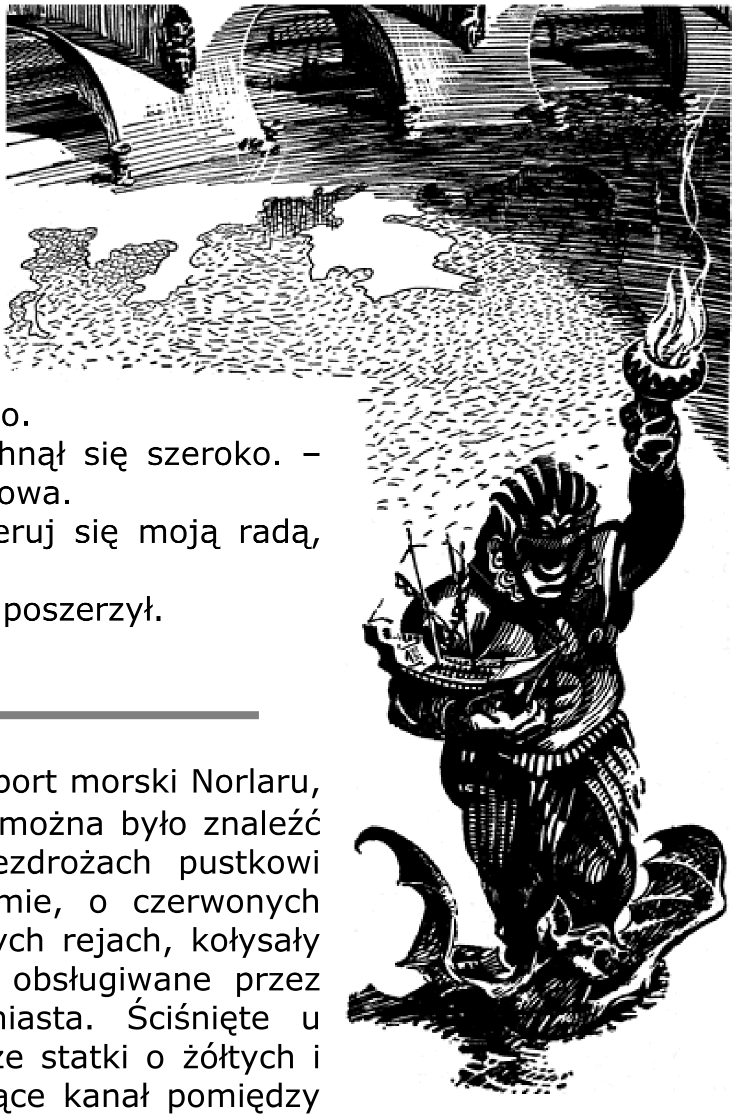
Przerwał na chwilę.

– Niektórzy byli w stanie tam handlować, i powrócili z bardzo zyskownymi ładunkami. Inni pozostawili swoje towary w rękach kapłanów Kondaro. A jeszcze inni zostali tam już na zawsze, znajdując szybką śmierć. Ale ja zatrzymuję się tutaj. Wolę prowadzić interesy z ludźmi honoru. Kiedy staję przez obliczem złodzieja albo bandyty, wolę robić to z

bronią w ręku. Księgi pełne dziwnych praw, mogą być gorsze niż jakikolwiek bandyta zrodzony z kobiety.

Musa powiódł wzrokiem po rynku.

– Tutaj, oczywiście – przyznał po chwili, – można znaleźć towary z Dalekiego Wschodu. Ale ja muszę obejrzeć je u ich źródła. – Pokręcił przecząco głową. – Nie – w końcu zdecydował, – muszę wykonać choćby jedną podróż.



– A więc, dam ci tylko jedną radę i ostrzeżenie – powiedział do niego stary kupiec. – Cokolwiek byś nie zobaczył, wygłaszaj jak najmniej uwag. Jeżeli zostaniesz poproszony o ofiarę, nie sprzeciwiaj się, tylko daj ją hojnie. Trzymaj oczy szeroko otwarte, a swoje opinie dla siebie samego.

– Dzięki. – Musa uśmiechnął się szeroko. – Spróbuję zapamiętać twoje słowa.

– Nie zapamiętuj ich. Kieruj się moją radą, jeśli chcesz stamtąd wrócić.

Uśmiech Musy jeszcze się poszerzył.

– Wrócę – obiecał.

Port w Tanagor, główny port morski Norlaru, pełen był towarów. To tutaj można było znaleźć statki, które pływały po bezdrożach pustkowi Wschodniego Morza. Olbrzymie, o czerwonych żaglach i szeroko rozpostartych rejach, kołysały się w porcie na kotwicach, obsługiwane przez małe łodzie wiosłowe z miasta. Ściśnięte u nabrzeży tłoczyły się mniejsze statki o żółtych i białych żaglach, przemierzające kanał pomiędzy kontynentem, a wyspiarskim imperium.

Powoli statek Musy zmierzał w stronę nabrzeża, gdzie na jego przybycie oczekiwała już wrzeszcząca banda tragarzy i sztauerów. Musa stał przy relingu, razem z innymi pasażerami, obserwując szaleńczą bieganinę na pomoście.

Na nabrzeże weszło czterech niewolników, niosących przesłoniętą purpurowymi zasłonami lektykę. Zatrzymali się. Po chwili zasłony uniosły się i wyszedł z niej jakiś człowiek. Nie był specjalnie wielki, a jego twarz ani generalnie cała postać, nie różniły się od normy. Ale elegancko wyszywane, purpurowe i złote szaty, czyniły z niego kolorową, wspaniale wyglądającą postać, nawet na tym różnobarwnym nabrzeżu. Władcza

pewność siebie, bijąca z postawy mężczyzny, powodowała, że nie można było go zignorować.

Poprawił swoją dziwnie ukształtowaną, płaską czapkę, wyniośle rozejrzał się po nabrzeżu i machnął ręką na jednego z niewolników, który sięgnął do wnętrza lektyki i wyciągnął z niej ozdobioną ornamentami purpurową skrzynię. Dołączył do niego inny niewolnik, i razem we dwójkę, przenieśli skrzynię z widocznymi oznakami czci i troski, podążając za swym odzianym w purpurę panem, do biura zarządcy nabrzeża.

Musa odwrócił twarz w stronę innego z kupców, z pytająco uniesionymi brwiami.

– Kapłan Kondaro – wyszeptał tamten. – W tym kraju stanowią oni najwyższą władzę. Uważaj, żeby nigdy nie rozgniewać żadnego z nich, albo nie podejść za blisko do świętej skrzyni, którą niosą ich niewolnicy. Zrobienie czegoś takiego, może oznaczać natychmiastową egzekucję.

Musa zaczął dziękować temu człowiekowi za jego przyjacielskie ostrzeżenia, kiedy okrzyk: „Lina! Hej!”, skierował jego uwagę na ekipy cumownicze. Na pokład statku, na dziobie i na rufie, rzucone zostały liny, i statek szybko stanął przycumowany do znajdujących się na lądzie mocnych pachołków.

Grupa sztauerów natychmiast przygotowała kładkę na śródokręciu i na pokład zaczął wlewać się strumień tragarzy, aby przenieść na brzeg ładunek statku. Dla pasażerów przygotowano inną kładkę, na rufie. U jej podnóża czekał jeden z tragarzy dźwigających lektykę kapłana, niewolnik w purpurowej przepasce biodrowej. Miał on w rękach dużą, czerwoną misę, ozdobioną wymyślnymi złotymi wzorami. Obok niego stał jego towarzysz, krzepki mężczyzna z marsową miną, trzymający w dłoni dziwnie uformowany miecz. Poprzedni mentor Musy nachylił się mu do ucha, pokazując głową w stronę czekającej grupy.

– Nie zapomnij o włożeniu do tej misy monety – ostrzegł go przyciszonym głosem. – W przeciwnym przypadku nigdy nie znajdziesz się na pokładzie jednego ze świętych statków.

– Ile? – spytał go Musa.

– Im więcej, tym lepiej. Jeżeli chcesz szybko wyruszyć przez Wielkie Morze, lepiej niech będzie to przynajmniej dziesięć caldorów.

Musa wzruszył ramionami, sięgając do portfela, aby wyciągnąć z niego złotą monetę.

– Być może powinienem zająć się biznesem religijnym, zamiast handlowym – powiedział w myślach sam do siebie.

Kiedy przechodził koło misy, spostrzegł że tamten kupiec wrzucił do niej jedynie kawałek srebra. Na nabrzeżu, przybywający pasażerowie, zostali podzieleni na grupy. Musa zauważył, że jego grupa była najmniejsza, natomiast jego niedawny przyjaciel i doradca, skierował się do innej, większej grupy. Podszedł do niego urzędnik, z tabliczką w ręku.

– Pańskie imię, Podróżny?

– Musa, kupiec, z Karth.

– Czy ma pan jakieś towary?

– Przywiozłem dwanaście bel. Oznaczone są moim imieniem.

– Bardzo dobrze, proszę pana. Przechowamy je do pańskiej dyspozycji. Może pan zażądać ich wydania, codziennie, po południu. – Mężczyzna zapisał coś szybko na swojej tabliczce.

Musa podziękował mu, a następnie odwrócił się, aby zobaczyć jak sobie radzi jego znajomy ze statku. Chciał mu zadać kilka pytań, odnośnie złotych i srebrnych monet.

Obserwował, jak starszy kupiec kończy swoją rozmowę z urzędnikiem, i kiedy tamten zaczął zmierzać ku wyjściu z nabrzeża, szybko ruszył na jego spotkanie. Zobaczywszy Musę, kupiec uniósł rękę do góry.

– Wiem – powiedział. – Chcesz pewnie zapytać, dlaczego tobie kazałem złożyć hojną ofiarę, a potem ja sam wrzuciłem do misy tylko drobniejszą monetę? Czy tego właśnie chciałeś się dowiedzieć?

– Dokładnie – odparł Musa. – Nie jestem co prawda biednym człowiekiem, ale nie jestem również bogaczem spędzającym wakacje. Ta podróż musi się zwrócić.

Drugi z kupców, uśmiechnął się lekko.

– I właśnie dokładnie dlatego, doradziłem ci co innego, niż zrobiłem ja. Chodź do winiarni, a opowiem ci całą historię.

Nad kilkoma pucharami z winem, starszy człowiek wytłumaczył swoje zachowanie. Był doświadczonym kupcem, już od wielu lat działał między kontynentem i Norlarem. Był to biznes przynoszący dobre zyski, ponieważ wyspa była uzależniona od dostaw z kontynentu, wielu podstawowych rzeczy, a w zamian wysyłała tam szereg towarów wysoko przetworzonych, wymagających delikatnej i mistrzowskiej roboty, a ponadto produkcję swojego szeroko rozwiniętego rybołówstwa i połowów muszli perłowych.

Pewnego dnia, na wyspę przybył prorok Sira Nal, ze swoimi modłami do boga morza Kondaro, władcy Wschodniego Morza. Tonda, bo tak nazywał się rozmówca Musy, opowiedział o niedowierzaniu, z jakim spotkał się prorok, oraz o pozytywnym dowodzie, którego dostarczył Sira Nal, kiedy zebrał grupę nawróconych, zgromadził wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić statek, i dokonał bardzo udanej podróży, do odległych krain, położonych na wschodzie. Po swoim powrocie, Sira Nal znalazł gotowy rynek na dziwne i cudowne towary, które ze sobą przywiózł. Znalazł również znacznie większe rzesze ludzi, gotowych nawrócić się na jego nową religię.

Oryginalni wyznawcy proroka, którzy teraz zostali kapłanami, byli jedynymi ludźmi, będącymi w stanie udzielić ochrony i przeprowadzić statek przez domeny morskich demonów, które często nawiedzały Wschodnie Morze, i żądali oni wielkich ofiar jako rekompensaty za ich usługi. Oczywiście, paru odważnych i ryzykanckich armatorów, próbowało powielić wyczyn Sira Nal bez pomocy kapłanów, ale żaden człowiek nigdy więcej nie zobaczył już ani ich statków ani marynarzy.

Dochody z bogatych, nowych rynków, plus ofiary od handlarzy przybywających do Tanagoru, błyskawicznie wypełniły kufry Kondaro. Zbudowano wielką świątynię, a kapłani uzyskiwali coraz to większą

władzę, i dzisiaj, przecież nie tak wiele lat po pierwszej podróży Sira Nal, faktycznie rządzili wyspą.

Przez kilka lat, Tonda, człowiek konserwatywny i niezachwiany wyznawca swoich własnych, odziedziczonych po przodkach, bogów, nie zwracał specjalnej uwagi na tę dziwną, nową religię. Przybywając do Tanagor, tak na wszelki wypadek, czasami wrzucał małe ofiary do wotywnej misy, ale znacznie częściej, po prostu przechodził koło Niewolnika Kondaro, i udawał się do swoich własnych spraw.

Jednakże w końcu, znęcony przez perspektywę wielkich zysków, w tym nowym, zamorskim handlu, postanowił zorganizować sobie podróż na jednym z wielkich statków. Wtedy, ujawniła się skuteczność kapłańskich metod księgowych. Wieli Bóg poczuł się urażony bezbożnością Tondy w czasie jego wielu poprzednich podróży przez kanał, i na jego towary oraz na niego samego, została nałożona klątwa. Oczywiście, gdyby Tonda zechciał dokonać pokuty, i złożyć ofiarę wotywną w wysokości około dwóch tysięcy caldorów, mogłoby się zdarzyć, że Wielki Bóg wycofałby klątwę i pozwolił mu na przejazd, ale jedynie z nowymi towarami. Jego poprzednia własność, została zniszczona przez obrażonego Kondaro, w gniewie na próbę umieszczenia ich przez Tondę, na jednym ze świętych statków. Tonda musiał wrócić na kontynent, z pustymi rękoma.

– Dlaczego jednak wróciłeś tutaj z nowymi towarami? – spytał go Musa.

Tonda uśmiechnął się.

– Gniew Kondaro rozciąga się tylko na Wielkie Morze. A, nawet jeżeli nie mogę udać się dalej na wschód, to handel tutaj, w Tangorze jest całkiem opłacalny. – Przerwał, uśmiechając się, aby wypić łyczek swojego wina.

– Myślę, że kapłani chętnie pozostawiają sobie kilku takich penitentów jak ja, którzy wyjaśniają sprawy nowoprzybyłym i służą jako przykłady potęgi Kondaro.

Musa w odpowiedzi uśmiechnął się do niego.

– Ale moje dziesięć caldorów spowoduje, że ja i moje towary staniemy się możliwi do zaakceptowania?

Tonda szybko rozejrzał się dookoła, a potem zwrócił przerażoną twarz w stronę swojego protegowanego.

– Nigdy nie mów takich rzeczy – ostrzegł go, przyciszonym głosem. – Nawet nie myśl w ten sposób. To twoja pobożność czyni cię możliwym do zaakceptowania, tak długo, jak długo podążasz drogą uwielbienia dla wielkiego Kondaro. Pieniądze nic tutaj nie znaczą. Liczy się jedynie duch złożonej przez ciebie ofiary.

– Rozumiem. – Twarz Musy zrobiła się poważna i uroczysta. – A w jaki inny sposób, mogę się upewnić, że pozostanę akceptowalnym kandydatem?

Tonda pokiwał głową, z aprobatą.

– Wydaje mi się, że jesteś rozsądnym i rozważnym człowiekiem.

Zagłębił się w opis technicznych detali czci dla Kondaro, boga Wschodniego Morza.

Po zaznajomieniu się ze wszystkimi szczegółami, Musa udał się do gospody, w której zabezpieczył sobie wcześniej pobyt na noc.

Następnego dnia rano, zgodnie z radą, jaką dał mu Tonda, Musa ruszył w drogę do Świątyni Morza. Kiedy przeciskał się przez tłumy ludzi, już zbierające się na ulicach, odnotowywał w myśli różne rodzaje towarów wystawianych w sklepach i sprzedawanych przez ulicznych handlarzy. Nagle jeden z tych krążących sprzedawców podszedł do niego. W rękach trzymał kilka ozdób.

– Dobrego dnia dla ciebie, o Szanowny Podróżny – zawołał. – Z pewnością to bardzo szczęśliwy poranek dla nas obydwu. – Zręcznym ruchem zarzucił na szyję Musy jedną z błyskotek, przepięknie obmyślony amulet.

Musa zignorowałby tego człowieka, ale łańcuszek amuletu zaplątał mu się na szyi i musiał na chwilę się zatrzymać, aby go zdjąć.

– Kiedy tylko cię zobaczyłem, od razu sobie pomyślałem – mówił dalej mężczyzna, – ach Banaselu, to jest ktoś, kto naprawdę będzie potrzebował opieki bogów. Pomyśl tylko, jak człowiek może ryzykować wyprawę na Wschodnie Morze, bez poświęconego amuletu?

Musa ściągnął w końcu łańcuszek przez głowę. Stał, trzymając ozdobę w dłoni.

– A skąd wiesz, dokąd ja się udaję?

– Och, Prześwietny Podróżny – zawołał człowiek, – jakże ja mógłbym nie wiedzieć takich rzeczy, jeżeli dane mi jest handlować tymi znakomitymi amuletami, przynoszącymi wielkie szczęście?

Wbrew samemu sobie, Musa poczuł ciekawość. Popatrzył na trzymany w ręku amulet. Nie było żadnych wątpliwości, co do jego znakomitego wykonania, i górę wzięły jego kupieckie instynkty.

– No cóż, to jest klejnot całkiem niezłej roboty – powiedział. – Być może mógłbym poświecić na to caldora, albo coś koło tego.

Stojący przed nim człowiek złapał się za głowę.

– On mówi, caldora! Przecież samo złoto warte jest przynajmniej dziesięć.

Musa przyjrzał się dokładniej ozdobie. Ten człowiek prawdopodobnie nawet aż tak bardzo nie przesadzał. Właściwie, to zdał sobie sprawę, że za tę błyskotkę, mógłby w Karth bez trudu dostać dwadzieścia pięć balata. Szybkie rachunki powiedziały mu, że był to możliwy zysk, który spadł mu po prostu z nieba.

– No cóż, w takim razie możliwe, że jest on wart pięć – powiedział. – Posłuchaj, będę hojny. Powiedzmy, że sześć?

– Och, książę dobroczyńców! Wzorze wspaniałomyślności! Pomimo wszystko, ja także muszę jakoś żyć. – Mężczyzna uśmiechnął się kwaśno. – A jednak, jesteś wspaniałym, prawym, młodym człowiekiem, i ktoś taki jak ty musi dostać specjalną obniżkę. Myślałem, żeby zażądać dwudziestu, ale obniżę to do dziesięciu. To koszt samego złota.

Musa uśmiechnął się w myślach. Zysk był już pewny, ale być może…

– Niech więc będzie osiem, i razem z moimi pieniędzmi, dam ci specjalne błogosławieństwo.

Mężczyzna wyciągnął rękę do przodu.

– Dziewięć.

Musa wzruszył ramionami.

– Niech więc będzie, najznamienitszy ze sprzedawców. – Sięgnął po portfel.

Banasel zawahał się przed przyjęciem pieniędzy. Ostrożnie obejrzał sobie Musę, a potem skinął głową, jakby usatysfakcjonowany.

– Tak – powiedział przyciszonym głosem, – miałem rację.

Przerwał na chwilę, a potem zwrócił się do Musy mówiąc bez ogródek.

– Musimy bardzo uważać, komu sprzedajemy te zaczarowane amulety – wyjaśnił swojemu rozmówcy, – ponieważ są to talizmany o niezmierzonej potędze. Ten, kto nosi jeden z nich, nigdy nie będzie musiał obawiać się niesprawiedliwego gniewu ludzi, bestii, ani demonów, ponieważ ma na swoje usługi potężnych protektorów. Tylko noś ten zaklęty przedmiot zawsze przy sobie. Nigdy go się nie pozbywaj, a w czasie twojej podróży, nie będziesz musiał się niczego obawiać. Mówię ci, znajdziesz się między najbardziej faworyzowanymi ludźmi.

Ponownie popatrzył na Musę ostrym wzrokiem, wziął pieniądze i wrzucił je do swojej torby.

– A więc naprawdę wierzysz w potęgę tej twojej ozdóbki? – sceptycznie spytał go Musa.

Oczy Banasela rozszerzyły się, i rozłożył szeroko ramiona.

– Możesz być tego pewien – oznajmił nabożnym tonem. – Jakże mógłbym w to nie wierzyć, jeżeli na własne oczy tak często widziałem cudowne działanie tych amuletów? – Uniósł rękę do góry. – Mógłbym stracić całe godziny opowiadając ci o mocach, jakie posiada ta niewielka ozdóbka i o cudach, za wywołanie których jest odpowiedzialna. Nikt nigdy jeszcze nie odniósł żadnej szkody, nosząc na sobie jeden z tych zaczarowanych talizmanów. Nikt! – Ponownie rozłożył szeroko ramiona.

Musa spoglądał na niego z ciekawością.

– Pewnego dnia, chętnie wysłucham twoich opowieści – uprzejmie stwierdził.

Czuł się nieswojo, tak jak czuje się wielu ludzi stykających się z nieskrywanym fanatyzmem. Jego uczucia oscylowały pomiędzy zaskoczeniem, łagodną pogardą i niepokojem, zrodzonym przez zdziwienie i niepewność.

W oczywisty sposób, temu człowiekowi los specjalnie nie sprzyjał. Był ubrany jak każdy inny uliczny handlarz. Roztaczał wrażenie pewnej skrytości, a zarazem bezczelności, jak ci którzy muszą unikać gniewu, a czasami nawet tylko uwagi, ludzi potężniejszych od siebie, a przy tym muszą zdobywać swoich klientów nachalnością. Ale o niezmierzonych mocach sprzedawanych przez siebie błyskotek, mówił uroczyście, zdając się trzymać je w dłoniach, z czymś w rodzaju szacunku. A kiedy rozłożył

ramiona, pojawił się w nim krótkotrwały błysk stłumionej siły. Musa lekko się wzdrygnął.

– Teraz jednak, jeżeli mam poczynić przygotowania do mojej podróży, muszę udać się do świątyni – dodał przepraszającym tonem. Odwrócił się i pośpiesznie ruszył dalej ulicą.

Banasel obserwował go, jak odchodzi, z lekkim uśmiechem na twarzy, który stopniowo coraz bardziej się poszerzał.

– Wcale nie mam do ciebie o to pretensji, stary – delikatnie zachichotał. – Ja sam czuję podobnie jak ty.

Rozejrzał się wokół siebie i znalazł wąską alejkę. Niby przypadkiem zanurzył się w niej, a potem ostrożnie jeszcze raz się rozejrzał. Nikt nie mógł go w tej chwili widzieć. Wyprostował się, odrzucając lekko służalczy, uniżony sposób zachowania, a następnie sięgnął do przyrządów sterujących jego tarczą osobistą.

Błyskawicznie ustawił ją na niewidzialność, a następnie włączył modulację lewitatora, przecisnął się pomiędzy zabudowaniami ponad alejkę, nabrał nad miastem wysokości i skierował się w kierunku postrzępionych szczytów gór, tworzących kręgosłup wyspy.

Lanko czekał na niego i szybko opuścił osłony bazy.

– No i? – spytał go. – Jak ci poszło?

– Znalazłem go – Banasel przeszedł do szafek i zaczął porządkować rzeczy, które miał ze sobą. – Sprzedałem mu miniaturowy komunikator. Teraz, jak mam nadzieję, nosi go na sobie.

– Będziemy musieli trzymać go pod ścisłą obserwacją – skomentował Lanko, – tak na wszelki wypadek, gdyby włożył go do swojego bagażu i zostawił go w nim na dobre. Czy wcisnąłeś mu dobrą gadkę sprzedawcy?

– No pewnie. Kazałem mu zawsze go mieć przy sobie. Wymachiwałem łapami w powietrzu jak wiatrak, troszeczkę zaszalałem, tak żeby sobie pomyślał, że mam bzika. Jakoś wydaje mi się, że zapamiętał co mu powiedziałem i jeżeli tylko zobaczy zbliżające się kłopoty, natychmiast złapie za komunikator. – Banasel odłożył na właściwe miejsce ostatnią błyskotkę i zaczął odpinać swój osobisty ekwipunek. Potem odwrócił się.

– Słuchaj – stwierdził nagle, – dlaczego w ogóle zawracamy sobie głowy tymi mistycznymi sprawami? Mamy przecież mentakomy. Dlaczego po prostu nie założyć mu jednego i w ten sposób nie śledzić jego działań? To byłoby dużo prostsze. Mniejsza też szansa, że coś się posypie.

– Taaa, pewnie że to załatwiłoby sprawę – Lanko rzucił swojemu koledze zniesmaczone spojrzenie. – Ale, czy próbowałeś kiedyś tej sztuczki?

– Nie. Nigdy nie miałem okazji, ale widziałem innych strażników, prowadzących w ten sposób zdalny nadzór, a nawet w razie potrzeby przejmujących zewnętrzne sterowanie. Nie mieli z tym żadnych problemów. W każdym razie, moglibyśmy przynajmniej tego spróbować.

Lanko usiadł wyprostowany.

– Faktycznie, moglibyśmy tego spróbować – przyznał, – ale z góry wiem, jak by to się skończyło. Kiedyś próbowałem czegoś podobnego, i dowiedziałem się na ten temat paru rzeczy –– i to dosyć szybko. – Przez moment spoglądał na bok, nieobecnym wzrokiem. – Banasel, ile masz lat?

– Dlaczego pytasz, przecież wiesz. Mam czterdzieści jeden lat.

Lanko skinął głową.

– Tak samo jak ja – powiedział. – A nasza cywilizacja ma parę tysięcy lat. Nasz gatunek, jest nawet jeszcze nieco starszy. Przeszliśmy razem podstawowe szkolenie Straży, a potem specjalistyczne studia filozoficzne. Zabrało nam to dziesięć lat, pamiętasz?

– No pewnie. Pamiętam każdą minutę.

– Oczywiście, że pamiętasz. Na tym polegał zastosowany sposób uczenia. A jak myślisz, ile lat mogli mieć niektórzy z tych młodych strażników, a którymi pracowaliśmy?

– No cóż, większość z nich, to były dzieciaki, świeżo po szkole.

– Zgadza się, świeżo po szkole. Ale ile lat –– naszych lat –– zajęła im nauka? Czy cywilizacje, z których pochodzili, były stare? Albo czy ich gatunki były stare?

Lanko spoglądał na niego cierpkim wzrokiem.

Banasel z zamyśleniem spoglądał na drugą stronę pomieszczenia.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Jednak, przypuszczam, że niektórzy z ich przodków myśleli o podróżach kosmicznych, zanim na tej planecie w ogóle mogło zrodzić się życie. I, jeżeli już o tym mówimy, przypominam sobie, że jeden z nich wygłosił jakąś przypadkową uwagę, o tym że rozpoczął swoje szkolenie obywatelskie „zaledwie okres temu".

– Właśnie o to mi chodziło. – Lanko skinął głową, podkreślając swoje słowa. – „Zaledwie okres". Tylko dziesięć do dwunastu normalnych przedziałów długości życia, dla naszej rasy. A jego cywilizacja była tak samo stara w porównaniu do naszej, jak on był w porównaniu do nas. A nawet starsza.

Lanko wzruszył ramionami.

– Przez cały ten „okres", o którym tak mimochodem wspomniał, on się uczył –– ćwiczył swój umysł, tak że starsi obywatele galaktyki, mogą nawiązać z nim pełny kontakt, bez obawy uszkodzenia jego psychiki. Uczył się rzeczy, o których nawet nie ośmielił się nam wspomnieć, tobie czy mnie. W końcu, po kilku kolejnych takich okresach, zacznie stawać się dorosły. Czy wydaje ci się, że mogliśmy uzyskać całą jego wiedzę i nauczyć się choćby podstaw jego umiejętności wykorzystania wyposażenia technicznego, w ciągu zaledwie dziesięciu lat szkolenia?

Banasel sięgnął ręką do góry, zdejmując sobie z głowy małe kółeczko. Potrzymał je chwilę w ręku, spoglądając na nie z rosnącym respektem.

– Wiesz – przyznał w końcu, – naprawdę nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Nauczono mnie jak naprawiać te urządzenia, podobnie jak i inne elementy ekwipunku, a ich budowa w większej części jest, prawdę mówiąc, dosyć prosta. Nauczono mnie także kilku sposobów na ich użycie, a ja myślałem, że je dogłębnie zrozumiałem.

Zamyślił się na moment.

– Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że byliśmy w kontakcie z zaawansowaną cywilizacją, i wiedziałem że większość z tych gości, których traktowaliśmy tak normalnie, posiada coś, co wymagało bardzo długiego czasu aby to zdobyć, ale nigdy nie zatrzymałem się i nie pomyślałem o rzeczywistym przedziale czasu i nauki, jakie były do tego niezbędne. – Odchylił się do tyłu, zakładając mentakom z powrotem na głowę. – Jakoś nie powiedzieli tego jasno i wyraźnie.

– Oczywiście, ze tego nie zrobili. – Lanko lekko rozłożył ręce. – Nie wpaja się w sposób celowy dzieciom poczucia niższości.

– Taaa. Czy kiedykolwiek nauczymy się wszystkiego?

– Niektórzy. Pewnego dnia. Ale najpierw mamy długą, samotną drogę do pokonania.

Lanko wstał i zmienił ustawienia komunikatora.

– W tej chwili, jednak, może zajmijmy się Musą. Prawdę mówiąc, lepiej byłoby, gdybyśmy uważnie go śledzili, kiedy stąd wyruszy.

Świątynia Kondaro, boga morza, została zbudowana na krawędzi klifu, tak by mogła spoglądać na Wschodnie Morze. Ogromna, biała kopuła, tworzyła charakterystyczny element krajobrazu, już z daleka widoczny dla żeglarzy na morzu, i zdominowała panoramę całego wybrzeża Norlaru. Na szczycie kopuły, płonęła pochodnia, służąca jako latarnia morska, rozświetlająca czerń bezksiężycowych nocy. To właśnie było gniazdo purpurowych kapłanów i centrum pomocy dla wszystkich, którzy chcieli pożeglować na wschód.

Musa przez pewien czas stał, podziwiając świątynię, a potem powędrował pomiędzy pieczołowicie przyciętymi żywopłotami, wchodząc długim rzędem schodów, prowadzących do zwieńczonego łukiem wejścia.

W wejściu, ponownie się zatrzymał. Rozpościerające się w górze, wygięte sklepienie głównej kopuły, położone było niżej, niż sugerowałyby to jej zewnętrzne rozmiary, ale Musa niemal tego nie zauważał. Rozglądał się dookoła po głównej rotundzie.

W większej części utrzymana ona była w kolorze niebieskim. Kopuła była odzwierciedleniem gładkiego, błękitnego nieba, i niezmącony błękit opadał dalej, w dół ścian. Białe kamienne stopnie kończyły się na krawędzi mozaiki przedstawiającej morze, rozciągające się aż do ścian po przeciwległej stronie, którego obraz zakłócał jedynie wielki posąg boga morza. Kondaro stał pośrodku swojej świątyni, zwrócony twarzą do wejścia. Jedną rękę wyciągał do góry, dzierżąc w dłoni płonącą pochodnię, podczas gdy druga ręka trzymała jeden z wielkich statków, ulubionych przez boga. Jego stopa spoczywała na jednym z podobnych do nietoperzy morskich demonów, którego twarz stanowiła odbicie ostatecznej rozpaczy. Drugą stopę obmywały konwencjonalne wyobrażenia fal morskich, płynnie wtapiające się w mozaikę i powielane aż do ścian przez wzorzec na płytkach. Po przeciwległej stronie rotundy znajdowały się podwójne schody, prowadzące do drzwi z brązu, które były niemal niewidoczne i

wydawały się mgliście pojawiającym się mirażem, na horyzoncie bezgranicznego morza.

Kupiec popatrzył na przeciwległą stronę, a następnie pod nogi, i zawahał się, czując się jakby miał przejść po wodzie. Potem odwrócił się, przypominając sobie stojący w pobliżu cokół. Na nim, jak na stojaku, leżała szkarłatna misa, obok której stał niewolnik w szkarłatnej przepasce biodrowej, oznaczającej sługę Kondaro.

Musa podszedł do postumentu, wrzucił monetę do misy i ruszył w stronę tylnej części świątyni, wykonując odpowiedni pokłon przed olbrzymim posągiem. Podszedł do niego młody kapłan.

– Proszę o błogosławieństwo na podróż, którą mam zamiar podjąć – oświadczył kupiec.

Duchowny pochylił głowę.

– Bardzo dobrze, Podróżny. Pójdź za mną.

Zaprowadził go do niewielkiego biura. W środku, przy dużym stole siedział starszy kapłan, czytając tabliczkę. Wygodnie pod ręką, miał umieszczone przybory do pisania, a przed nim na stole stała kolejna misa wotywna. Musa wrzucił monetę do misy i kapłan uniósł na niego wzrok.

– Przyprowadziłem podróżnika, o Mądry – oznajmił młody kapłan.

– To dobrze – wyraził podziękowanie starszy kapłan, niskim, tubalnym głosem. – Jak się nazywasz, Podróżniku?

Musa podał swoje imię, wiek, rozmiary ładunku swoich towarów, i raport z podejmowanych działań, od czasu przybycia do Tanagor. Na wzmiankę o Tondzie, kapłan skinął potwierdzająco głową.

– Działania Tondy w czasie ostatnich kilku sezonów, były jak najbardziej wzorowe – zauważył. – To dobry człowiek, ale ciągle brakuje mu odpowiedniego ducha ofiarności.

Kapłan dokończył swoją pisaninę.

– Dobrze, a więc, Musa, możesz pójść do tych, którzy żeglują statkami, z błogosławieństwem Kondaro spoczywającym na tobie. Muszę cię jednak uprzedzić, co do konieczności przestrzegania obrządków i praw obowiązujących tych, którzy żeglują po Wielkim Morzu. Idź teraz w pokoju.

Kiedy Musa się odwrócił, przemówił młodszy duchowny.

– Poprowadzę cię teraz do tych, którzy dalej tobą już pokierują – powiedział.

Musa udał się za nim do kolejnego niewielkiego pomieszczenia, w którym spotkał się z następnym kapłanem. Ten człowiek, jak się zorientował, był sprawnym handlowcem, podobnym do niego samego. Dobrze znał się na towarach oraz na ich wartości, a w dodatku do obrzędów które mu opisał, przedstawił również dokładne porady, co powinien ze sobą zabrać, a z czego zrezygnować. Na szczęście Musa odkrył, rozmawiając z kapłanem, że to co wziął ze sobą, stanowiło niemal równie dobry zestaw, jak ten wskazany.

W ciągu kilku kolejnych dni, Musa musiał składać kolejne ofiary wotywne, przećwiczyć rytuały jakie polecił mu wykonać kapłan, oraz pilnować swoich towarów, w miarę jak były dostarczane na *Bordeklu*, statek należący do Maladro, umiłowanego Kondaro, armatora, którego

statki zostały zaaprobowane przez morskiego boga i jego kapłanów, i mogły żeglować po Wschodnim Morzu.

W końcu, nadszedł dzień, kiedy sam Musa zaokrętował się na pokład i wyruszył w podróż obok przylądków Norlar.

Kiedy statek wychodził z portu na holu, Musa zrobił przegląd towarzyszących mu pasażerów. Pomiędzy nimi znajdował się smukły, przystojny mężczyzna, o imieniu Ladro, który odbył już wiele takich podróży do krainy Wschodu, i Min-ta, rdzenny mieszkaniec wschodniego kontynentu, wracający właśnie z podróży handlowej do Norlaru. Na statku było jeszcze kilku innych ludzi, ale oni trzymali się własnego towarzystwa i zdawali się emanować aurą nieprzystępności. Ladro i Min-ta, wręcz przeciwnie, byli bardziej otwarci.



Z pewnością – pomyślał sobie Musa, – *ci dwaj, jeżeli tylko będą mieli na to ochotę, mogą mi wiele opowiedzieć o krainie, którą mam zamiar odwiedzić*.

Podszedł do barierki, przy której stała ta dwójka, przyglądając się linii brzegowej. Statek przepływał właśnie na wprost wielkiej świątyni Kondaro.

– To najbardziej znaczący element krajobrazu na wyspie, nieprawdaż? – zagaił Musa.

– Co? – Ladro obrócił się w jego stronę, spoglądając na niego z ciekawością. – Ach, tak – zorientował się, – świątynia. Tak, to ostatnia rzecz którą się widzi odpływając stąd, i pierwsza kiedy się powraca. – Przerwał na moment, spoglądając badawczo na Musę. – To twoja pierwsza podróż?

– Tak, zgadza się. Do tej pory, przez cały czas handlowałem na lądzie.

– Ale w końcu postanowiłeś udać się do Kneuros?

– Tak. Robiłem interesy z kilkoma kupcami, którzy mieli stamtąd towary, i zainteresowały mnie opowiadane przez nich historie.

Ladro uśmiechnął się.

– Romantyka odległych miejsc?

– No cóż, również i o to mi chodzi – przyznał Musa, – ale jestem także zainteresowany pewnymi towarami, które u nich widziałem.

– W tym jest niezły zysk – zgodził się Ladro. – Od jak dawna handlujesz w okolicach Norlaru?

– To moja pierwsza podróż. Jestem z Karth, w Galankarze.

– Czy to znaczy, że nigdy wcześniej nie byłeś jeszcze w Norlarze? – włączył się do rozmowy Min-ta.

Musa pokręcił przecząco głową.

– Wyjechałem z Karth, aby pohandlować ze wschodnią częścią Wielkiego Morza.

– To niezwykłe – zadumał się Min-ta. – Większość kupców przez kilka lat pracuje między Tanagor i kontynentem, zanim spróbują wypuścić się na Morze.

– Tak – dodał Ladro. – A niektórzy z nich nigdy tu nie wyruszą. Zadowalają się handlem kanałowym. – Wskazał ręką. – Wychodzimy właśnie na otwarte morze. Mijamy rafę.

Statek oddalał się od wyspiarskiego królestwa, biorąc kurs na zamglony horyzont. Dzień ciągnął się niemiłosiernie, aby w końcu zostać zastąpionym przez niezmierzoną ciemność nocy. Potem niebo znowu się rozjaśniło, obwieszczając nadejście nowego dnia.

Towarzystwo na statku, przystosowało się do rutyny rejsu po morzu, spacerowali po przeznaczonej dla nich części pokładu, czasami rozmawiając między sobą o różnych sprawach, albo drzemiąc na słońcu. Musa wychylił się właśnie przez niską barierkę, obserwując wodę i podziwiając jasne, błękitne fale.

Uniósł głowę, kiedy otworzyły się drzwi do przednich nadbudówek. Pojawił się w nich kapłan, w asyście grupy niewolników, i wszedł na wyniesiony w górę forkasztel. Pod kierunkiem duchownego, niewolnicy zajęli się ustawianiem w poprzek przedniego pokładu, wysokiej, purpurowo-żółtej zasłony. Wykonali swoje zadanie, i zeszli na dół.

Ponownie otworzyły się drzwi, i na forkasztel powoli wspięła się po drabince, procesja prowadzona przez głównego kapłana. Każdemu z trzech obecnych duchownych, towarzyszył jego niewolnik, dźwigający szkarłatną skrzynkę. Kurtyna zamknęła się za nimi, a następnie wyszli spod niej niewolnicy i ustawili się w poprzek pokładu, odwróceni twarzami w stronę rufy,

– Zastanawiam się – powiedział Musa, wracając się do Ladro, – jaki rytuał w tej chwili tam odprawiają.

Ladro pokręcił przecząco głową.

– Im mniej człowiek wie o sprawach kapłanów, tym lepiej dla niego – oznajmił. – Naprawdę, na tym wielkim statku, ciekawość to pierwszy stopień do piekła i to śmiertelnie niebezpieczny stopień.

Musa kiwnął głową w stronę rufy.

– Widzę, że jeden z kapłanów, nie poszedł na dziób.

– To prawda. Jeden z duchownych przez cały czas pozostaje koło sternika, aby pilnować zaklęć przeciwko morskim demonom. – Ladro przerwał, wskazując ręką na nawietrzną. – Zobacz – powiedział zadowolonym tonem, – oto jest wysłannik Kondaro.

Spojrzenie Musy powędrowało za palcem Ladro. Wokół statku krążyła wielka ryba, prześlizgując się bez wysiłku przez fale i od czasu do czasu wyskakując w powietrze.

– Wysłannik?

– Tak. Dopóki kontar podąża za statkiem, można się spodziewać pięknej pogody i gładkiej żeglugi. Przysyłane są one przez Kondaro jako strażnicy, dla tych statków, które cieszą się jego szczególną opieką.

Na wezwanie kapłana znajdującego się na rufie, pojawiło się dwóch żeglarzy, niosąc ze sobą wielkie kawały mięsa. Duchowny rozpoczął melodyjny zaśpiew, a tamci wyrzucili je za burtę. Wielka ryba wyskoczyła z wody, chwytając jeden z nich, kiedy jeszcze leciał na dół, a następnie spadła z powrotem do morza. Z wody bryznęła biała piana, i wisiała jeszcze w powietrzu, kiedy już złapała drugi kawałek. Przełknęła mięso, a potem pływała zadowolona, ciągle podążając a statkiem.

– A co by było, gdyby ktoś wypadł za burtę? – Musa popatrzył na kontara z fascynacją.

Ladro i Min-ta wymienili między sobą spojrzenia.

– Jeżeli Wielki Bóg mu sprzyja – odparł Min-ta, – to wierzy się, że kontar nie zrobi mu krzywdy. W przeciwnym razie, oznaczałoby to, że ofiara zastała przyjęta.

Musa popatrzył na przejrzystą wodę, a następnie przesunął wzrok do tyłu, na pozostające za rufą resztki piany.

– Nie wydaje mi się, abym miał ochotę kiedyś spróbować popływać koło statku. – Powoli odszedł od barierki, rzucając szybkie spojrzenie Ladro i Min-ta, a następnie odwracając od nich wzrok.

Zrozumiał nagle, że wyszedł poza bezpieczny zakres pytań, i że mogło go to wpędzić w kłopoty. Zauważył, że większość obecnych na statku, zdawała się znać innych handlarzy na pokładzie, nawet jeśli niektórzy z nich nie byli wcześniej na morzu. Min-ta i Ladro, ewidentnie znali dobrze kilku oficerów z załogi. Ale on, Musa, był obcy.

Już wcześniej zorientował się, że kapłani Kondaro, nie wzdragali się przed szybkim dochodem, oraz że przykładali niewielką wagę do życia i majątku innych ludzi. Na lądzie miewał już do czynienia z plemionami, które wyznawały te same proste, dzikie zasady.

– On jest obcy? Zabić go! Zabrać mu wszystko co posiada, a potem go zabić.

Na stałym lądzie, podczas wielu swoich podróży, chronił się, przyłączając się do innych kupców, o dobrej reputacji oraz wynajmując straże. Ale tutaj? Przypomniał sobie uwagi poczynione przez Kerunara kiedyś, w Mantoro.

– „Kiedy staję wobec złodzieja albo bandyty, wolę robić to z bronią w ręku".

Powoli opanował się, i ponownie zwrócił wzrok na Ladro i Min-ta.

– Proszę panów teraz o wybaczenie – przeprosił ich, – ale mam do zrobienia trochę zaległych podliczeń, tak więc chyba będę musiał już pójść do mojej kwatery.

Odwrócił się i zszedł pod pokład.

Kiedy zniknął na dole drabinki, Ladro zwrócił się do swojego towarzysza.

– Oczywiście – stwierdził z zamyśleniem, – jeżeli wszystko pójdzie dobrze, ten człowiek będzie cieszył się najwyższą przychylnością. Ale jeżeli Wielki Bóg okaże choćby najmniejszą oznakę niezadowolenia…

Min-ta skinął głową.

– Tak – zgodził się. – Słyszałem już o obcych przybyszach, którzy wzbudzili gniew Kondaro. – Jego oczy zwęziły się badawczo. – Jak mi powiedziano, ci z zaufanych, którzy uważają na takich niepożądanych osobników, są sowicie nagradzani przez kapłanów.

Ladro przytaknął.

– Sądzę, że to prawda – zgodził się. – Na każdym kroku powinniśmy bacznie wypatrywać bezbożności. – Przeciągnął się. – No cóż, chyba powinienem złapać parę chwil drzemki przed obiadem.

Kwatery kupców pod pokładem, były bardzo ciasne. Przeznaczona dla nich część statku, składała się z niewielkiego pomieszczenia wspólnego, ze stołem nad którym wisiała pojedyncza lampka. Wzdłuż grodzi znajdowały się wydzielone zasłonami wnęki, w których z trudem mieściła się koja, i ledwie starczyło w nich miejsca, aby ich mieszkaniec mógł stanąć wyprostowany. Musa zasunął zasłony i usiadł na swojej koi.

Oczywiście, nie miał żadnego dowodu. Nie było żadnej sekwencji logicznego rozumowania, która wykazywałaby, że sytuacja była niebezpieczna. Nie było żadnych oznak, że jego współtowarzysze podróży byli kimś innym niż honorowymi ludźmi, o jak najlepszych intencjach. Ale on po prostu czuł pismo nosem. Wyciągnął spod koi drewnianą skrzynię, otworzył ją i przejrzał swój niewielki składzik osobistych rzeczy.

Nie miał żadnej broni. Prawa Kondaro zabraniało jej noszenia wszystkim poza kapłanami i ich niewolnikami. Jego uwagę przyciągnął błysk światła, i wziął do ręki mały amulet, który kupił od ulicznego handlarza w Norlarze. Powoli przekręcił go w dłoniach.

Ta ozdóbka była niezwykła, dziwnie misternie zrobiona. Nigdy jeszcze nie widział takich drobnych, regularnych detali, nawet u najlepszych mistrzów rzemiosła. Kiedy bliżej jej się przyjrzał, nie mógł zrozumieć w jaki sposób można było to zrobić, przy pomocy jakichkolwiek narzędzi, jakie były mu znane. A jednak musiała ona zostać wytworzona przez ręce ludzkie, chyba że rzeczywiście była pochodzenia ponadnaturalnego.

Pamiętał ponaglającą go powagę w postawie handlarza, a nawet przypominał sobie niektóre z jego słów. Ten człowiek opowiadał niemal przekonywująco o potężnych obrońcach, a Musa czuł przez skórę, że będzie takiej ochrony potrzebował. Stwierdził, że mówi:

– O, mocy, która spoczywasz w tym amulecie – powiedział, – jeżeli w słowach tego handlarza była choć odrobina prawdy, ja… – Przerwał. Przeważyło jego zwykłe, solidne, poczucie zdrowego rozsądku.

– Jestem kompletnym głupcem!

Wyciągnął rękę z powrotem, aby wrzucić ozdobę do skrzyni. Wtedy jednak coś go powstrzymało. Ogarnął go jakiś nieprzeparty przymus i jakby w oszołomieniu zawiesił sobie amulet na szyi. Czując się chory i słaby, ukrył go pod skrawkami garderoby. Następnie, ciągle poruszając się

jakby w oszołomieniu, wyszedł z kabiny i wrócił na pokład. Nie zrobił jednak nic, poza słabymi i niemrawymi próbami, aby oprzeć się temu nagłemu pragnieniu.

Morska bryza na pokładzie spowodowała, że poczuł się trochę lepiej, ale nadal był mocno wstrząśnięty, a głowa gwałtownie go bolała. Małe skrawki jakichś bliżej nieokreślonych wspomnień, próbowały wkraść się do jego świadomości, ale nie był w stanie skupić się na nich. Skierował się w stronę barierki i zobaczył, że Min-ta ciągle tam jest.

– A więc – skomentował przybysz ze wschodu, – twoje rachunki nie zabrały ci zbyt wiele czasu?

Musa uśmiechnął się blado.

– Tam na dole było okropnie duszno. Czułem, że muszę wyjść i złapać trochę świeżego powietrza.

Min-ta skinął przytakująco głową.

– To normalne w kwaterach, za dnia. – Wskazał ręką wzdłuż statku. – Nadal bóg nam sprzyja – wyjaśnił. – Dołączył do nas drugi kontar.

Wokół statku krążyły teraz dwie z tych wielkich ryb, prześlizgując się przez wodę, i skacząc bez wysiłku z fali na falę. Musa przyglądał się im.

– Rzeczywiście naprawdę musimy być pod opieką.

– Tak. – Min-ta uśmiechnął się. – Miejmy nadzieję, że nasza łaska będzie trwała dalej.

Głowa nadal bolała Musę, a błyski słońca odbijającego się od wody, jeszcze to pogarszały. Popatrzył w stronę rufy, gdzie w miejscu w którym niebo stykało się z wodą, widać było niewyraźną linię. To był rząd nisko wiszących obłoków. Jego spojrzenie powędrowało po horyzoncie, i stwierdził, że chmury z przodu, wydawały się nieco ciemniejsze. Nadal czuł niepokój i samotność.

---

*– **R**ozumiesz teraz, o co mi chodziło?*

– Ooch! Tak. Teraz rozumiem. Ależ to było obrzydliwe! Mam najbardziej gigantycznego kaca na świecie, i co najmniej przez tydzień nie będę w stanie jasno myśleć. Ciekawe jak się czuje Musa… W każdym razie, osiągnąłem właściwe wyniki.

– Tak, osiągnąłeś to co trzeba. Podobnie jak i ja, kiedy próbowałem czegoś podobnego. Ale upłynie jeszcze dużo czasu, zanim spróbuję tego znowu. Jak się czujesz?

– Nie ma sprawy. Kiedy następnym razem spróbuję bezpośredniej kontroli mentalnej nad inną osobowością, to na tej planecie będą już mieli podróże kosmiczne. Ciekawe, czy parę tabletek klordonu, pomoże mi choć trochę.

– Być może. Spróbuj, a potem zajmij się rozstawieniem wokół tego statku paru dodatkowych komunikatorów. To będzie bardziej praktyczne, niż wysmażanie sobie mózgów.

W miarę jak mijały kolejne dni, Musa przyzwyczaił się do rutyny życia na pokładzie statku, i pozbył się części trapiącego go początkowego niepokoju co do swoich towarzyszy podróży. Zawarł znajomość z innymi kupcami, odkrywając, że są oni zupełnie normalnymi ludźmi, tak samo jak i on zajmującymi się handlem. Rozmawiał z członkami załogi i stwierdził że to także zwykli ludzie, w kompetentny sposób zajmujący się swoimi sprawami. Jedynie czterech kapłanów trzymało się na uboczu. W taki sam sposób ignorowali oficerów, żeglarzy i kupców, odzywali się jedynie do swoich niewolników, którzy przekazywali ich opinie reszcie ludzi na statku.

Rankiem dziesiątego dnia, Musa wyszedł na pokład i zorientował się, że morze jest bardziej wzburzone niż zazwyczaj. Fale wznosiły się wyżej, wyrzucając w powietrze bryzgi białej piany, rozpryskujące się na wietrze. Niebo przed dziobem statku, pokrywały ciemne chmury, a od czasu do czasu na pokład spadały bryzgi wody, opryskując pokład i pasażerów.

Tuż koło wejścia do kabiny, zebrała się mała grupka kupców. Kiedy Musa wyszedł na zewnątrz, pozostali sami.

Musa podszedł do barierki, spoglądając z wysokości pokładu, na morze. Dwójki kontarów nie było nigdzie widać. Rozejrzał się dookoła, zauważając marynarzy, którzy biegali wszędzie po pokładzie i po olinowaniu, przygotowując statek do złej pogody. W pobliżu rozmawiali ze sobą Ladro i Min-ta.

– To całkiem możliwe – stwierdził Ladro, – że ktoś na pokładzie złamał prawo wielkiego Kondaro i kontary odpłynęły, żeby powiadomić go o grzechu. – Popatrzył badawczo na Musę.

– Tak – zgodził się Min-ta, – my…

Przechodzący pośpiesznie po pokładzie oficer, zatrzymał się koło nich.

– Wszyscy pasażerowie będą musieli zejść pod pokład – oznajmił. – Wchodzimy w obszar złej pogody, i nie chcemy aby kogoś zmyło za burtę.

– Czy to może być oznaka gniewu Kondaro? – spytał Ladro.

Oficer popatrzył na niego badawczym spojrzeniem.

– Mogłaby być, tak. Dlaczego pytasz?

Ponownie Ladro rzucił wzrokiem na Musę, a potem wziął żeglarza pod ramię i odciągnął go na bok. Rozpoczęli ożywioną dyskusję we dwójkę, przyciszonymi głosami, kierując szybkie spojrzenia na Musę. W końcu oficer skinął głową i poszedł na rufę, aby podejść do jednego z niewolników Kondaro.

Musa ruszył przez pokład, zmierzając do drabinki, a jego serce boleśnie waliło. Z całą pewnością, pomyślał sobie, nie zrobiłem niczego, co mogłoby obrazić nawet najbardziej czułe z bóstw. A jednak wnioski płynące ze spojrzeń Ladro i jego rozmowy z oficerem ze statku, były zbyt oczywiste, aby mógł je błędnie zinterpretować największy nawet tępak. Musa wciągnął głęboki, drżący oddech.

A więc jego obawy, z tamtego dnia, miały mocne podstawy.

Popatrzył na coraz niższe niebo, a potem na fale za burtą. Co mógł zrobić samotny, pozbawiony przyjaciół człowiek, na tym wodnym i wietrznym pustkowiu!

Powoli zaczął schodzić po drabince, zmierzając do swojego małego kącika.

Kiedy już znalazł się w środku, ponownie zaczął przeglądać swoje rzeczy osobiste. Nie było w nich niczego, co mogłoby mu pomóc. Pozbawionym nadziei wzrokiem popatrzył na swoje rzeczy w skrzyni, a następnie wyciągnął zwój z książką i podszedł do stojącego na środku stołu, aby poczytać, w celu oczyszczenia umysłu z myśli na temat obecnej sytuacji.

Kilka minut później wrócił do koi i odrzucił zwój na bok. Być może tylko sobie wyobraził, że stanowił cel spisku. Być może rzeczywiście istniał jakiś prawdziwy bóg morza, nazywający się Kondaro, wszechmocne morskie bóstwo, które mogło przemówić, kiedy znajdujący się w obrębie jego domeny ludzie, byli zbyt ciekawscy albo żywili jakieś bezbożne myśli, i które było w stanie wpływać na działania wiernych.

Możliwe, że jego opinie na temat stanu kapłańskiego zostały odnotowane i uznane za obrazę. Albo, być może to ciekawe małe urządzenie, które kiedyś widział w ręku kapłana, było w stanie ostrzec boga, że zostało sprofanowane przez nieuświęcone spojrzenie. Być może ta burza rzeczywiście stanowiła skutek takiego ostrzeżenia. Był pewien, że kapłan go nie widział, ale możliwe, że samo urządzenie, mogło…

Musa rzucił się na swoją koję.

W pomieszczeniu zabrzmiał echem głęboki głos.

– Muso z Karth – oznajmił, – mój pan, Dontor, pragnie twojej obecności na pokładzie.

Musa podniósł się na nogi. Dwóch niewolników Kondaro stało obok siebie, z mieczami w dłoniach. Jeden z nich kiwnął ręką, a następnie odwrócił się. Musa podążył za nim do krótkiego przejścia, i w górę, po drabince. Kiedy wyszli na pokład, mała procesja udała się w stronę rufy, aby stanąć przed najstarszym kapłanem.

Dontor stał na podwyższeniu pokładu rufowego, tuż przed sternikiem. Wiatr powiewał jego purpurowo-złotą szatą, niemal zdzierając ją z jego ciała, tak że łopotała jak flaga, odsłaniając jasno niebieskie spodnie i kurtkę. Dontor, główny kapłan na *Bordeklu*, stał zupełnie nieruchomo, ze złożonymi rękoma, zapierając się nogami o pokład, aby przeciwdziałać kołysaniu statku. Kiedy trio nowoprzybyłych zatrzymało się przed nim, zmarszczył brwi, spoglądając na nich na dół.

– Muso z Karth – zaintonował śpiewnie, – wyjawiono mi, że wykazywałeś nadmierną ciekawość w stosunku do wewnętrznych tajemnic kultu Wielkiego Boga. W swoich rozmowach, sugerowałeś, jakobyś posiadał wiedzę zabronioną dla wszystkich poza zainicjowanymi.

Po retorycznej chwili przerwy, kontynuował dalej.

– Przybyłeś do nas, obcy, a myśmy ci zaufali. Ale teraz, wszyscy stoimy wobec gniewu Wielkiego Boga, który jest skutkiem twojej bezbożności. Ofiara, i tylko ofiara, może ułagodzić ten gniew. Czy możesz

wymienić choćby jeden powód, dla którego mielibyśmy chronić cię dalej, kosztem naszego własnego życia? Co nam powiesz?

Musa popatrzył na niego, do góry. Kłąb w jego gardle, nagle zrobił się bardzo gruby i niesamowicie gorzki. Próbował przełknąć ślinę, ale bez sukcesu, a rozbłysk myśli powiedział mu, że cokolwiek by teraz nie powiedział, to pozostali są już przekonani o jego winie. Niezależnie od tego co mógłby przywołać na swoją obronę, zdawał sobie sprawę, że został już skazany na taką karę, jaką ci ludzie zdecydują się mu wymierzyć. A tą karą, był tego całkowicie świadom, będzie śmierć. Wyprostował się dumnie.

– O, kapłanie – szorstko odparł, – Nie jestem winien żadnej zbrodni. Ty, jednakże, masz zamiar skazać mnie za zbrodnię bardzo poważną, i nie jest w mojej mocy, abym mógł temu zapobiec. – Zawahał się, a potem przemawiał dalej. – Ostrzegam cię jednak, że jeżeli pod nami, albo w górze, istnieją jacykolwiek prawdziwi bogowie, dosięgnie cię ich kara. Bogowie, w przeciwieństwie do ludzi, są sprawiedliwi!

Uświadamiając sobie nagły ruch w jego stronę, szybko dokończył.

– Złóż więc swoją ofiarę, a potem zobaczymy, czy będziesz w stanie ocalić swój statek przed siłami natury, wichrem i wodą.

Kapłan zesztywniał z gniewu.

– Bluźnierstwo – oznajmił. – Bluźnierstwo najgorszego rodzaju. – Odwrócił wzrok od Musy. – Uznaję, że w tym przypadku, Wielki Bóg będzie żądał, aby załoga i pasażerowie statku postąpili z tobą w wymagany sposób, tak by mogli zostać oczyszczeni z wszelkiego skażenia, wywołanego przez twoją tutaj obecność.

Uniósł do góry ramiona.

– O, Wielki Kondaro, Panie wszystkich mórz i wszelkich stworzeń i rzeczy w morzach – rozpoczął inwokację.

Musa wyrwał się obu strażnikom, błyskawicznym skrętem ramion. W kilku szybkich krokach pokonał odległość do burty statku i przeskoczył ponad barierką. Kiedy spadał, wiatr zaczął nim szarpać, a młócące w powietrzu ręce i nogi, nie mogły znaleźć żadnego punktu podparcia, który by go wyprostował.

Uderzył w wodę z pluskiem i wstrząsem, który niemal wycisnął mu dech z piersi, a potem szybko zniknął pod powierzchnią. Kiedy woda zamknęła mu się nad głową, zaczął uderzać rękoma i nogami, z wysiłkiem wspinając się w górę, w stronę światła i powietrza. Jego głowa wychynęła nad powierzchnię i młócił wodę, nieustając w wysiłkach, aby utrzymać nos ponad wodą. Statek oddalał się od niego, z postawionymi sztormowymi żaglami.

Kiedy zmagał się z wodą, zastanawiał się, czy warto było to robić. Przecież wystarczyło tylko pozwolić, aby jego ciało się zanurzyło, a wszystkie jego kłopoty szybko się zakończą. Czyż nie byłoby to łatwiejsze, niż dalej torturować się beznadziejną walką?

Zastanawiał się również, czy dobrze zrobił opuszczając statek, ale szybko porzucił tę myśl. Morze było bezosobowe, ani okrutne, ani przyjazne. Znacznie lepszym rozwiązaniem było, jak sobie pomyślał,

poddać się siłom natury, niż złożyć swoje życie na ołtarzu złośliwości rozgniewanych ludzi.

Nagle pochwyciła go jakaś przemożna siła. Instynktownie próbował walczyć z nią, aby się wyrwać, ale wtedy zrozumiał, że jest wyciągany do góry, z wody. Być może, pomyślał sobie, to Wielki Bóg chciał z nim porozmawiać.

Został szybo uniesiony w powietrze, przez moment wisząc w kompletnej ciemności, a następnie znalazł się w jakimś małym pomieszczeniu. Stało w nim dwóch mężczyzn, twarze obydwu były mu jakoś mgliście znajome. Kiedy jego umysł zdołał ponownie się skoncentrować, Musa rozpoznał ulicznego handlarza amuletów, a potem także właściciela stad, któremu kiedyś sprzedał miecz. Obaj byli mu dziwnie znajomi, ale mieli na sobie jakieś dziwaczne ubrania, Przypatrywał się im uważnie.

– No cóż, Musa – stwierdził właściciel stad, – widzę, że wpadłeś w niezłe kłopoty.

Musa zamrugał oczyma.

– Kim jesteście? – dopytywał się, Skąd tyle wiecie o moich sprawach?

Sprzedawca amuletów uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz, jesteśmy starymi kumplami, Musa – powiedział. – Ty, oczywiście zapomniałeś nas, ale my nigdy nie zapomnieliśmy ciebie.

Wskazał ręką.

– To jest Rezydent Strażnik Lanko, a ja nazywam się Banasel i również jestem z Gwiezdnej Straży. Nasza praca polega na zapobieganiu takim sytuacjom, jak ta, w której ty właśnie się znalazłeś. – Jego uśmiech nieco przybladł. – Temu i jeszcze paru rzeczom.

Musa zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Gwiezdna Straż? A co to jest takiego?

Lanko przez chwilę mu się przyglądał, a następnie przeszedł na drugą stronę małego pomieszczenia.

– Kiedyś to wiedziałeś – rzucił do tyłu, przez jedno z ramion, – ale odrzuciłeś tę wiedzę i musiano ci ją odebrać. Ponieważ chwilowo będziesz pracował z nami, zdaje się, że będę musiał przywrócić ci twoje wspomnienia. Być może nawet będziesz potem chciał, aby je sobie zachować. – Wyciągnął z jednej z szafek, znajdujące się w niej urządzenie.

– Niektóre z tych rzeczy będą musiały być z drugiej ręki, ponieważ ani Banasel, ani ja nie byliśmy w miejscach, które są pokazywane. Ale część z nich jest z pierwszej ręki.

Jego palce przerzuciły przełącznik.

Zamruczał generator zasilający i Musa poczuł że przypomina sobie obozowisko w pobliżu obecnie zniszczonego, a potem odbudowanego miasta Atakar. Kiedy narzucane mu bloki mentalne zapadały coraz głębiej w pamięć, przypomniał sobie również, kim byli Banasel i Lanko.

Uświadomił sobie również, co go tak do nich przyciągało, w niedalekiej przeszłości.

W jego umyśle rozbłysły wspomnienia dni, spędzonych jako niewolnik w Atakar, przypomniał sobie również udział, jaki tych dwóch miało w jego ucieczce. Pamiętał także czasy rozboju i dziwnych przybyszów, którzy przywieźli ze sobą swoją niepokojącą wiedzę i dziwne moce.

Widział zniszczenie Atakar, schwytanie przestępców z galaktyki, deprawujących miasto. Dzielił doświadczenia swoich dwóch towarzyszy, podczas ich wprowadzenia w wysoko rozwiniętą kulturę Federacji Galaktycznej, zobaczył nawet urywki z ich szkolenia w Bazie Aldebaran. Wyruszył razem z nimi na niektóre z ich misji.

Mruczenie ustało, i znowu spoglądał na obu strażników.

– A więc – powiedział do niego Lanko, – teraz już wiesz.

Musa pokiwał głową.

– Coś jednak utraciłem, co nie?

Kiedy Musa zniknął za burtą statku, kapłan, Dontor, opuścił ramiona. Szybko obracając to niezaplanowane wydarzenie na swoją korzyść, wykrzyknął:

– Nie musimy już dłużej się martwić, moje dzieci. Wielki Bóg wezwał tego bluźniercę, aby zdał mu ostateczny rachunek.

Zwrócił się do jednego ze swoich młodszych kapłanów, przyciszając głos:

– Zejdź tam na dół, Alnar, i rozdziel towary tego człowieka. Musimy wynagrodzić tych, którzy nas poinformowali.

Młodszy kapłan skłonił się nisko.

– Tak, panie. – Zawahał się jednak. – Czy ten sztorm szybko w nas uderzy? – dopytywał się.

Dontor uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Powinieneś zwrócić więcej uwagi na swoje szkolenia w zakresie praktyki umiejętności żeglarskich – skarcił lekko młodszego człowieka. – Ponieważ idziemy niemal zupełnie na wiatr, tak więc nasza szybkość dodaje się do szybkości wiatru. A ponieważ sztormy poruszają się z wiatrem, ten dotrze do nas już wkrótce.

Wskazał ręką na horyzont.

– Widzisz tę małą przerwę w chmurach? Wskazuje ona na możliwość dobrej pogody za frontem. W ciągu kilku godzin najgorsze powinniśmy mieć już za sobą. A na pewno nie zbliżymy się do samego serca sztormu, zaczepi nas tylko jego krawędź. Nasz jedyny problem to, kiedy będziemy najbliżej środka sztormu, nie dopuścić do utraty masztu. – Przerwał, spoglądając do góry.

– Mamy kompetentną załogę. W odpowiedni sposób zrefowali żagle, a jeżeli będzie to konieczne, mogą je natychmiast zwinąć. Co złego może nam się przydarzyć?

– Dziękuję, panie. – Młodszy kapłan ponownie się skłonił. – Przeprowadzę konieczne ustalenia, co do tych towarów.

Dontor stał jeszcze przez chwilę, obserwując statek, a potem podszedł do steru.

– Ponieważ jak zawsze, to ja jestem odpowiedzialny za tę operację – powiedział do siebie, – zastąpię niektórych z tych marynarzy przez młodych kapłanów neofitów, i każę im sterować przy pomocy ich własnych kompasów. Ta metoda jest za bardzo nieporęczna. Poza tym, neofici przynajmniej będą mogli pokosztować trochę morza.

Podszedł do pilotującego kapłana, który stał obok sternika, z niewolnikiem trzymającym małą czerwoną skrzynkę z kompasem.

– Jaki mamy kurs?

Kapłan odwrócił się w jego stronę, a następnie skłonił się.

– Zeszliśmy z kursu o dwanaście stopni na północ, panie – zameldował. – Pouczyłem sternika, żeby szedł tak ostro na wiatr, jak tylko się da.

Dontor skinął głową z aprobatą.

– Bardzo dobrze – pochwalił pilota. – Mierz dokładnie czas jaki mija, i kiedy tylko pojawi się szansa zmiany kursu na południe, dokonamy korekty. Jutro w południe, określimy na podstawie pozycji słońca, czy potrzebne będą jeszcze jakieś dodatkowe korekty kursu.

Alnar wszedł po drabince na górę, na pokład nadbudówki. Podchodząc do Dontora, skłonił się w pozdrowieniu, a potem zameldował.

– Towary są gotowe, panie.

– Bardzo dobrze. Znajdź tych dwóch handlarzy i daj im jak zwykle dziesięć procent, a potem przynieś mi spis pozostałej reszty.

Musa stał z zaciśniętymi pięściami, oglądając na odtwarzaczu, zarejestrowany obraz.

– Powiedział, jak zwykle dziesięć procent! Dlaczego nie mogę wytłuc tych morderczych złodziei!

Lanko wyłączył odtwarzanie.

– Nie możesz ich za bardzo winić – roześmiał się głośno. – Pomimo wszystko, oni tylko próbują zarobić na życie, a to jedyny biznes na jakim się znają.

Widząc, że Musa niemal się zadławił, próbując na to odpowiedzieć, wtrącił się Banasel.

– No pewnie – zachichotał. – A poza tym, dzięki takim gościom jak oni, tacy goście jak my mają co robić.

Lanko zauważył na twarzy Musy przerażoną minę i szybko spoważniał. Położył rękę na ramieniu handlarza.

– Słuchaj – wyjaśnił poważnym tonem, – gdybyśmy brali sobie do serca takich ludzi jak ci, to połowę naszego życia musielibyśmy spędzać w psychuszce, rozplątując nasze własne umysły.

Wskazał gestem na szpule z taśmami, wypełniające szafkę.

– Tutaj mamy setki zapisów przypadków podobnych do tego. Niektóre z nich są dużo gorsze, inne nie takie znowu złe. Każdy z nich musiał zostać –– i został –– rozwiązany przez członków naszego Korpusu. Ten

jest po prostu kolejnym z tych mniej istotnych, rutynowych incydentów, które ciągle pojawiają się w całej galaktyce. Teraz, to jest już nasz problem, i weźmiemy się nad nim do pracy.

Odwrócił się.

– Banasel, od czego chcesz zacząć?

– No cóż… konkurencja w handlu.

– To przyjdzie później – pokręcił przecząco głową Lanko. – Wiesz przecież, że gdzieś w tym siedzi jakiś obcy, albo ktoś tego rodzaju, którym trzeba zająć się najpierw.

– Wiem, to dosyć oczywiste.

– Tak więc, musimy go znaleźć… albo ich.

Musa zdołał się opanować.

– A co z tymi ptaszkami, których mamy w ręku?

Banasel wzruszył ramionami.

– Płotki. Zajmiemy się nimi później.

Podszedł do stołu warsztatowego, na którym leżał miecz Lanko i wziął go do ręki.

– Zastanawiałem się nad tym już wcześniej – stwierdził. – Teraz, jestem tego pewien. On po prostu nie pasuje do normalnej technologii z tego okresu.

Musa popatrzył na niego z ciekawością.

– Ale w okolicach Norlaru jest całe mnóstwo podobnych – zauważył. – W Galankarze są one rzadkością, możecie być tego pewni, ale…

– Właśnie o to nam chodzi – odparł mu Lanko. – Za wiele tych anachronizmów. Po pierwsze, mamy ten miecz. Po drugie, napotkaliśmy kapłanów Kondaro, którzy dyskutują o meteorologii, nawigacji i pilotażu, ze znaczną znajomością rzeczy. Ponadto, od kilku dni mamy na tym statku umieszczony zestaw komunikatorów, a ja nadal nie mogę pojąć, w jaki sposób mogła rozwinąć się tutaj technologia, pozwalająca na wytworzenie niektórych z ich przyrządów. Powinniśmy zauważyć, że coś jest nie tak, już dawno temu.



Rozłożył ręce.

– Ci kapłani korzystają z sekstansów, zegarków czy też kompasów. A, na domiar złego, mamy nagranie kapłana nanoszącego kurs statku, na dokładnej mapie. Przy tym używał kątomierza, wyskalowanego w stopniach galaktycznych. To już było rozstrzygające. Siedzi w tym ktoś, kto nie pochodzi stąd, i musimy go znaleźć –– jego albo ich.

Wziął miecz od Banasela.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli

polecimy na wschodni kontynent i zobaczymy co tam uda nam się znaleźć. Wtedy będziemy mogli zająć się naszymi przyjaciółmi. Ale najpierw, Ban, połącz się może z którymś ze Strażników Sektorowych, żeby w razie potrzeby udzielili nam wsparcia. Możemy wdepnąć w coś zbyt gorącego, abyśmy sami dali sobie z tym radę.

Banasel skinął głową i odwrócił się do komunikatora. Lanko usiadł w fotelu pilota, obrzucił wzrokiem ekrany i chwycił za stery. Morze na ekranie wizyjnym przechyliło się, odsunęło się dalej do tyłu, a następnie zmieniło się w równą, pozbawioną elementów charakterystycznych, niebieską płaszczyznę.

– **N**o dobrze, oto jest twój wschodni kontynent. Prawdę mówiąc, właśnie widzimy miasto Kneuros. Chyba to jest miejsce, do którego chciałeś dotrzeć, czy nie?

Musa z zamyśleniem popatrzył na Banasela.

– Tak – przyznał. – Myślałem, że to właśnie tutaj chcę dotrzeć, ale teraz już wiem, czego naprawdę przede wszystkim chciałem.

– O?

– Z pewnością. Dręczył mnie niepokój. Wydawało mi się, że podoba mi się bycie kupcem w Karth, być może dlatego, że byłem naprawdę całkiem niezłym kupcem. Ale tam kupowałem wyłącznie rzeczy z drugiej ręki, przywiezione przez innych. Odrzuciłem to, czego naprawdę chciałem, ponieważ przerażało mnie to. To stało się już dawno temu.

Popatrzył na panel sterujący. Kiedyś, parę lat temu, rozumiał działanie takich paneli.

– Jak planujecie znaleźć tych waszych obcych –– jeżeli w ogóle jacyś tutaj są?

– Przeszukiwanie według wzorca. – Lanko wzruszył ramionami. – Będziemy krążyć po okolicy, po wzorze siatki, dopóki nie wyłapiemy jakichś dziwnych odczytów, albo dopóki nie zauważymy czegoś nienormalnego.

Wskazał ręką na rząd różnych instrumentów.

– Oni z pewnością muszą mieć gdzieś tutaj statek, a wtedy wyłapiemy najmniejsze nawet ślady promieniowania energii z jego osłon. Gdyby statek orbitował w kosmosie, wykrylibyśmy go już dawno temu, a więc musimy założyć, że jest gdzieś na powierzchni. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli od razu ruszymy zgodnie z wzorcem. Możemy przyjąć Kneuros jako punkt wyjścia.

Zapatrzył się na przyrządy kreślące normalne sygnały.

– Pomyślmy. Gdybym chciał ukryć statek, to skorzystałbym z najmniej dostępnej lokalizacji, jaką mógłbym znaleźć. Prawdę mówiąc, my sami robimy dokładnie tak samo. A w głębi lądu są pewne górzyste regiony. – Ustawił kurs i szybkość.

– Taaa – dodał Banasel, – dużo bardziej przejmowałbym się przy tym dostępnością z ziemi, niż z powietrza, a przynajmniej na tej planecie.

Statek nabrał wysokości, przyśpieszył i pomknął na wschód.

Dzień po dniu, pokonywali kolejne kilometry, kamery rejestrowały obrazy przesuwającego się pod statkiem terenu, a dwóch strażników budowało swoją mozaikę. Statek przemierzał wielokrotnie kontynent, po drodze sporządzając jego dokładne odwzorowanie.

Od czasu do czasu, Lanko uważnie porównywał nowo tworzoną mozaikę, z wcześniejszymi badaniami, odnotowując wszelkie różnice. Pojawiły się nowe osady, W miejscach gdzie kiedyś przez prerie wędrowali ludzie z koczowniczych kultur, szybko rozrastała się cywilizacja przemysłowa.

Lanko popukał palcem w mapę.

– Dwie cywilizacje – zauważył. – Dwie cywilizacje, rozdzielone przez góry i pustynię. Absolutnie żadnych oznak kontaktów, ale znaczące podobieństwo między nimi. Ten wzorzec, zaczyna mi wyglądać znajomo.

Wziął z jednej z półek taśmę i puścił ją w odtwarzaczu, a następnie przewinął ją do tyłu i wybrał kilka fragmentów do ponownego przejrzenia. W końcu nałożył na nie wybrane kawałki z taśm zawierających ich obserwacje, Przebadał je i odwrócił się w ich stronę. Banasel uniósł rękę.

– Nic nam nie mów – warknął. – Ja również uczyłem się o trutniach.

– Trutnie? – Musa spojrzał na niego, a potem popatrzył ponownie na ekran odtwarzacza.

– Tak. Osobnicy z jakiejś wysoko rozwiniętej cywilizacji, którzy czują się sfrustrowani i nie potrafią się do niej przystosować. Często zmieniają się w poszukiwaczy przyjemności i nierzadko kończą, zabawiając się pierwotnymi cywilizacjami, aby udowodnić swoją przydatność, przynajmniej dla nich.

– Czy tego rodzaju rzeczy zdarzają się często?

– Och, niezbyt często, jak mi się wydaje, ale dostatecznie wiele razy, aby na każdej ze znanych planet pierwotnych, stacjonowali podobni do nas ludzie, chroniący je przed tego rodzaju działalnością. Widzisz, trutnie zazwyczaj rozpoczynają po prostu od drobnych ingerencji, w gospodarkę albo rządy na jakiejś pierwotnej planecie. Zazwyczaj udaje się ich dosyć szybko złapać. Ale czasami, unikają schwytania. Mogą wtedy skończyć, wywierając poważny wpływ na miejscowe wzorce kulturalne. Niektóre z planet zostały poważnie wyhamowane a nawet zniszczone w wyniku działalności trutni. Pomimo, że ich motywy są odmienne, trutnie są tak samo źli, i tak samo niebezpieczni, jak wszyscy inni przestępcy.

Lanko uśmiechnął się lekko.

– Jedyna różnica polega na tym, że oni są zazwyczaj dużo łatwiejsi do pokonania, niż zorganizowana banda kryminalistów, mająca rzeczywisty cel. Generalnie, to nieodpowiedzialne dzieciaki, które nie posiadają broni, organizacji ani możliwości, jakie łączą się z pojawieniem prawdziwych bandytów.

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście – dodał jeszcze, – tak na wszelki wypadek, wezwaliśmy pomoc. Prawdopodobnie jednak będziemy w stanie zająć się tą sytuacja, własnymi siłami. Prawdę mówiąc, tak będzie lepiej, jeżeli nie chcemy aby uznano nas za niezbyt skutecznych, Chyba że wystąpią jakieś nieoczekiwane czynniki.

Przerwał, spoglądając w stronę zestawu detektorów i ponownie pukając w mapę, a potem wodząc powoli palcem po całym przebadanym obszarze.

– Powinniśmy już wkrótce coś wychwycić – stwierdził w zamyśleniu. – Banasel, lepiej chyba rozbudować naszą siatkę w tych okolicach, na terenach górzystych. Obszarami zasiedlonymi, będziemy mogli zająć się później.

Wskazówka szarpnęła się, uniosła powyżej zera, a następnie ustabilizowała się w jednej pozycji.

Gdzieś w środku, pod panelem przyrządu, niewielki skok natężenia prądu, uruchomił mikroprzełącznik i zapadła decyzja o alarmie.

Kiedy zabrzmiał brzęczek ostrzegawczy, zarówno Lanko, jak i Banasel spojrzeli na panel detektora.

– No, dobrze. Najwyższy czas.

Lanko wychylił się w prawą stronę, ustawiając kilka przełączników. Ekran rozjaśnił się, pokazując słabą, czerwoną kropkę. Dotknął lekko kontrolek sterujących, przesuwając kropkę na środek ekranu, a następnie odczytał odległość.

– Niezbyt daleko – zauważył. – Ale jednak nieco poza normalnym zasięgiem. Musi mieć osłony włączone na pełną moc.

Banasel wrócił do stołu warsztatowego, przez moment przyglądał się nalepkom na szufladach, a potem otworzył jedną z nich.

– Jak sądzę, będziemy potrzebowali otwieracza do konserw?

– Być może. Jeżeli on jest na pokładzie, to możemy mieć małe problemy.

Lanko odchylił się do tyłu.

– Sprawdź wzorzec energetyczny. Takie rzeczy mogą nam powiedzieć na co się natkniemy, kiedy sami wejdziemy do akcji. – Spojrzał ponownie na wskaźniki, i pstryknął kilkoma przełącznikami. – Tak prawdę mówiąc, to wydaje mi się, że lepiej będzie jeśli poczekamy sobie tutaj, zanim nie zidentyfikujemy tego chłoptasia.

Banasel pogwizdywał niemiłosiernie fałszując, przy wprowadzaniu wyników odczytów do komputera. W końcu nacisnął przycisk aktywatora i obserwował jak maszyna wypluwa z siebie taśmę. Ponad szczeliną taśmy, zestaw ekranów z wykresami pokazywał wyniki obliczeń, ale Banasel zignorował je, wkładając taśmę do kolejnej maszyny.

– Przypuszczam, że trafiają się tacy, którzy potrafią określić pozytywną identyfikację, już na podstawie wyświetlanych liczb i krzywych. Ale ja jestem tylko początkującym. Poza tym, jak mi się wydaje, po to właśnie wymyślono katalogi integratora.

Lanko uśmiechnął się.

– Ja również wielu rzeczy nie wiem – zgodził się z nim. – Ale generalnie wiem, gdzie mogę znaleźć, to czego nie wiem. – Włożył zwiniętą szpulę taśmy do komputera.

Przyglądali się jak rozjaśniają się ekrany katalogu. Przebiegały przez nie kolejne rysunki i opisy, aż w końcu rozległo się szybkie tykanie. Z urządzenia zaczął wysuwać się w ich stronę, arkusz papieru. Kiedy tykanie umilkło, Banasel oderwał go od reszty rolki.

– Osłony typu siedemnaście – odczytał. – Prawdopodobnie ietoriańskie generatory, model Nan pięćdziesiąt siedem. Maszyna ściśle sportowa. Ma osłony elektromagnetyczne i chroniące przed fizycznym kontaktem, ale nic więcej. A, przy tym typie odczytów, jakie tutaj mamy, powiedziałbym, że dał je na całą moc, jaką ma. Wchodzimy do środka?

– Pewnie, że tak. – Lanko zdecydowanie skinął głową i poklepał z pewnością siebie drążek sterowniczy. – To co my mamy, to może tylko latacz atmosferyczny, ale został zabudowany tak, aby wytrzymać dużo gorsze rzeczy niż luksusowy model sportowy. Przygotuj swój otwieracz do konserw, tak na wszelki wypadek, gdyby nasz chłoptaś chciał z nami dyskutować.

Banasel bez słowa skinął głową.

Mały sportowy pojazd stał zaparkowany między dwoma wierzchołkami górskimi. Przed nim znajdował się niewielki kawałek równego terenu, zbyt mały dla jakiegokolwiek statku. Nad nim z kolei wznosiła się goła skała, zwieńczona w górze czapą wiecznego śniegu. Lanko przyjrzał się otoczeniu z niesmakiem.

– Niegościnni, co nie? – chrząknął. – Mógłby przynajmniej zostawić dosyć miejsca na porządny podjazd, na którym lądowaliby goście.

Wziął mikrofon, dotknął jednego z klawiszy i przekręcił gałkę. Ze znajdującego się przed nim głośnika, doleciało ciche skwierczenie.

– Rezydent Filkoru wzywa pojazd sportowy – ostro rzucił. – Wchodzę do środka, odbiór.

Skwierczenie nie ustawało. Lanko wcisnął inny klawisz i nasłuchiwał. Skwierczenie pozostało bez zmian.

– Banasel, otwórz go – w końcu rozkazał. – Ja wejdę do środka.

Uniósł się ze swojego fotela, i przeszedł do włazu wyjściowego. Przez chwilę stał, sprawdzając przytroczony ekwipunek. Potem sięgnął do szafki i wyciągnął z niej zestaw narzędzi. Otworzył skrzynkę, przejrzał jej zawartość, a następnie odwrócił się i skinął głową Banaselowi.

Właz otworzył się na całą szerokość i Lanko wszedł w niego.

Zeskoczył lekko na pustą przestrzeń przed pojazdem sportowym, potem zrobił kilka kroków do tyłu, przykucnął za odłamem skalnym i ustawił swoją osłonę osobistą na pełną moc.

– Opuść osłony – rozkazał.

Wokół sportowego pojazdu pojawiła się słaba poświata. Początkowo była ledwie widoczną fluorescencją. Potem, stopniowo przerodziła się w gwałtowny, jaskrawy ogień. Płonęła przez kilka sekund, a następnie przygasła, zrobiła się zielona, żółta, czerwona, by w końcu zamigotać i zniknąć.

– Wyłączyłem ich – powiadomił go głos Banasela. – Czy mam dać im jeszcze trochę i załatwić generatory?

– Nie trzeba – powiedział mu Lanko. – Utrzymuj tylko całkowitą neutralizację. Wyłączę je ze środka.

Wstał ze swojego miejsca za skałą, nonszalancko kopiąc butem w jej krawędź, kiedy wychodził spoza niej. Ziemia dookoła skąpana była w pyle i w kurzu.

– Dobrze, że w pobliżu nie ma żadnych drzew – roześmiał się. – Musielibyśmy ugasić pożar lasu.

Wyciągnął zza pasa swoją broń ręczną, pieczołowicie ją sprawdził, a potem podszedł w stronę statku. Po szybkiej inspekcji, skierował broń w wybrane miejsce na kadłubie.

– Stoi tu cała kupa kredytów – skomentował lakonicznie. – Szkoda byłoby go za bardzo uszkodzić.

Kilka minut później, zrobił krok do tyłu, sprawdzając efekty swojej pracy. Potem skinął głową i ze skrzynki z narzędziami, wyjął inne urządzenie. Przystawił je do włazu statku, pstryknął przełącznikiem przy swoim pasie, włączając przyrząd z lekkim trzaskiem.

Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem zabrzmiał ostry zgrzyt torturowanego metalu, i pokrywa włazu otworzyła się.

Lanko po wejściu do środka, uważnie sprawdził pomieszczenie sterówki. W końcu, uspokojony, że nie przygotowano żadnej pułapki, którą mógłby uruchomić, podszedł do panelu ze sterami. Znalazł urządzenia kontrolne komunikatora i wziął mikrofon.

– Wszystko w porządku, Ban – zameldował. – Możesz wyluzować.

Obserwował jak przeładowany generator, podnosi się. Kiedy wskaźniki znalazły się na normalnych pozycjach, przestawił przełączniki osłon w pozycję wyłączone, a następnie ponownie wziął mikrofon.

– Spadaj już, Banasel – polecił. – Ja uruchomię tę puszkę na nowo, zamknę właz i poczekam sobie, aż nasz chłoptaś wróci do domu. Chętnie sobie z nim trochę pogadam.

Sportowy pojazd miał dobrze zaopatrzoną spiżarnię. Lanko podjadł sobie z zadowoleniem, oglądając taśmy, które okazały się bardzo interesujące. W końcu, odsunął ostatnią szpulę na bok, a potem rozsiadł się i gapił na ścianę.

Zadźwięczały przyciszone tony jakiegoś sygnału i aktywował się ekran widokowy. Lanko skinął sobie samemu głową i ruszył w stronę wejścia do sterowni, po drodze wyłączając alarm. Po kilku krokach, znalazł się przy włazie wejściowym, i czekał tam z bronią w ręku.

Pokrywa włazu otworzyła się i Lanko nacisnął spust broni. Osłona osobista przybysza rozbłysła na krótko, a potem upadł on bezwładnie. Lanko zrobił krok naprzód, aby zbadać stan swojego jeńca.

Przybysz był humanoidem. Widać było pewne różnice, pomiędzy nim a ogólnym typem występującym na tej planecie, ale nie były one specjalnie poważne. Mógłby swobodnie poruszać się po większości Galankaru, jeżeli

nie gdziekolwiek. Niektóre z kobiet, być może pociągałby nawet jego niezwykły wygląd. Lanko wciągnął go do środka i zamknął właz.

Nie śpiesząc się, dokładnie przeszukał ubranie jeńca i zabrał mu sprzęt oraz broń. W końcu, cofnął się, zdecydowawszy, że przeciwnik jest unieszkodliwiony. Czekał. To nie powinno za długo potrwać, zanim zacznie się zabawa.

W miarę jak skutki paraliżu zaczęły mijać, leżący na podłodze człowiek naprężył swoje mięśnie, a potem podniósł się na nogi. Lanko obserwował go, z bronią leżącą na kolanach. Ponieważ mężczyzna wyraźnie sprężał się do skoku, Strażnik lekko uniósł broń.

– Nazywasz się Genro Kir.

– Kim jesteś? O co tutaj chodzi? – Kir sięgnął do swojego pasa, a potem ponownie opuścił rękę, kiedy nic tam nie znalazł.

– Strażnik Rezydent. Nazywam się Lanko. Zdaje się, że na tej planecie, jesteś trochę nie na miejscu.

– Nie jestem odpowiedzialny przed jakimś miejscowym gliniarzem. – Twarz Kira przybrała wyraz uporu. – Jestem Obywatelem Galaktyki.

– Być może. Te sprawy zostawimy władzom Sektora. – Lanko wzruszył ramionami, utrzymując pobawioną wyrazu twarz. – Tymczasem jednak będziesz musiał zaakceptować sprawy takie, jakie są. Albo może wolisz raczej ponowny paraliż?

Genro Kir ponownie się sprężył, w widocznym wysiłku mentalnym.

Lanko uśmiechnął się szeroko do niego, naprawdę rozbawiony.

– Odebrałem to. W każdym razie, to i tak do niczego ci się nie przyda. Dali mi naprawdę porządny sprzęt. Machnął trzymaną w ręku bronią w stronę fotela. – Może sobie usiądziesz i trochę o tym wszystkim porozmawiamy. Oczywiście, przejrzałem już twoje taśmy.

Kir rozejrzał się dookoła nieszczęśliwym wzrokiem, a potem opadł na fotel.

– Wobec tego, o czym mamy niby rozmawiać? Wiecie przecież, co robiliśmy.

– Tak ogólnie, to wiemy. Sporo z tego było na twoich taśmach. Ale potrzebujemy więcej szczegółów, no i musimy złapać twoich kompanów, przecież wiesz.

– Sam nie wiem, gdzie oni są. Oni tworzą swoją własną potęgę i wypracowują pozycję. Rozumiesz, to jest tylko otwarcie. Prawdziwa gra jeszcze nieprędko się rozpocznie.

Lanko roześmiał się krótko.

– Szczerze, nie wydaje mi się, aby w ogóle miała się zacząć. Ale byłoby znacznie prostsze dla wszystkich zainteresowanych, gdybyś pomógł nam odnaleźć pozostałych graczy.

– Mówiłem ci. Nie wiem, gdzie oni są. Nie muszą mówić arbitrowi, o każdym ruchu jaki wykonują. Chyba że chcą skonsultować jego zgodność z zasadami. Ja po prostu trzymam straż nad ogólnym obrazem, żeby się przekonać, czy któryś z nich nie łamie reguł, albo nie wykorzystuje jakiejś niesprawiedliwej przewagi.

– Być może nawet nie wiesz, gdzie oni są – przyznał Lanko, – ale z pewnością możesz się z nimi skontaktować.

Genro Kir uśmiechnął się z napięciem.

– Ale tego nie zrobię.

– Wiesz, że będziemy ich ścigać. W końcu złapiemy ich co do jednego. Byłoby naprawdę dużo prościej dla wszystkich gdybyś chciał współpracować.

– Współpracować z bandą na wpół dzikich tubylców, przeciwko moim własnym przyjaciołom? Nie udawaj głupszego, niż naprawdę jesteś!

– Rozumiem. – Wzrok Lanko powędrował gdzieś daleko. – Wszyscy jesteście oczywiście niesamowici etyczni. No dobrze, w takim przypadku, musimy zabrać się do roboty.

Wyciągnął z przypiętego do pasa futerału, niewielki łańcuszek, i podszedł do swojego jeńca, z bronią gotową do strzału.

– Po prostu się nie ruszaj – rozkazał.

Przełożył delikatnie wyglądający naszyjnik przez głowę człowieka, nacisnął wisiorek i odskoczył do tyłu.

– Nie wiem, czy jesteś obeznany z tym urządzeniem – powiedział, – a więc wyjaśnię ci jak ono działa. To są kajdanki grawityczne, typu dziewięćdziesiąt dwa, i zostały one zaprojektowane do powstrzymania każdej znanej istoty żywej. Możesz swobodnie się poruszać, dopóki nie zrobisz żadnego nagłego, ani gwałtownego ruchu. Urządzenie zostało zarejestrowane w mojej osłonie osobistej, i jeżeli wtargniesz do strefy położonej w bezpośredniej bliskości mnie, doświadczysz czasowego paraliżu. Abyś był bezpieczny, wystarczy odległość paru metrów ode mnie.

Wrócił do konsoli ze sterami.

– Ach, tak – dodał jeszcze. – Nie próbuj ich zdejmować. Zostały tak zaprojektowane, aby zapobiegać podobnemu działaniu, przy pomocy aktywnych środków. Nie wyrządzą ci żadnej trwałej szkody, ale może to być dla ciebie dosyć niemiłe. Pamiętaj również, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to w każdej chwili mogę kajdanki aktywować. Doprowadzą cię do stanu kompletnego paraliżu, i wyślą silny sygnał naprowadzający.

Genro Kir popatrzył kwaśno na niego.

– Nie będę próbował uciekać – obiecał.

– To dla mnie jest nieistotne. – Lanko pstryknął przełącznikami, i statek uniósł się z ziemi, zakołysał się, i ruszył na zachód. – Ja tylko opisywałem ci możliwości kajdanek.

Podczas lotu ponad morzem, Lanko zanotował pozycje kilku statków kupieckich, podszedł do niech bliżej, sprawdzając je. Kiedy zbliżył się do niewielkiego archipelagu, ekran jego komunikatora rozjaśnił się.

– Strażnik Rezydent do pojazdu sportowego. Podaj swoją identyfikację. Odbiór.

Lanko wziął mikrofon do ręki.

– Wszystko w porządku, Ban. Mam jednego z nich. Pozostało jeszcze dwóch.

– Całkiem nieźle. Możesz wpaść. Daję ci wiązkę na siebie.

Lanko sprawdził namiernik kierunkowy. Małe kółko było troszeczkę z boku. Leciutko dotknął pokrętła regulatora i, kiedy kółko znalazło się na środku, nacisnął przycisk. Rozsiadł się w fotelu.

Sportowa maszyna zanurkowała nad wyspę, przeleciała nad wąską laguną i osiadła na ziemi, obok latacza straży. Lanko zaczął wyciągać ze swojej skrzynki różne narzędzia. Ostrożnie nimi operując, usunął pokrywę z konsoli sterów, sprawdził kostki końcówek i podłączył pomiędzy dwiema końcówkami mały cylinder.

Zamknął z powrotem konsolę i przeszedł do włazu wyjściowego, gdzie nacisnął dźwignię alarmowego otwierania. Właz otworzył się na całą szerokość. W tej samej chwili konsola sterów, zrobiła się jakby rozmazana. Lanko zaczekał, aż panel ponownie zacznie wyglądać ostro, i wrócił do niego. Pociągnął za dźwignię odpalania silników i przesunął ją do końca. Nic się nie stało. Wcisnął przycisk zasilania awaryjnego i poczekał przez chwilę. Również nie było żadnego efektu. Kiwnął głową w stronę swojego jeńca.

– Chodźmy, Genro Kir. Może będziemy chcieli, żebyś z kimś porozmawiał. – Wskazał ręką na właz. Kir zawahał się, a potem wyszedł na zewnątrz. Kiedy to robił, udało mu się szyderczo parsknąć.

Właz latacza otworzył się, i wyjrzał z niego Banasel.

– Potrzebujesz może pomocy?

– Nie. Ten statek kosmiczny nigdzie nie poleci, dopóki nie przybędzie ktoś z sektora i nie zdejmie z niego blokady. – Lanko wskazał ręką. – To jest Genro Kir. Sędziował w czymś w rodzaju bitwy pomiędzy parą swoich kompanów.

Lanko popędził Kira przed sobą i wszedł do swojego latacza. Umieścił skrzynkę z narzędziami na półce i usiadł. Banasel przysiadł na swoim warsztacie.

– Co ci dowcipnisie tutaj zmajstrowali?

– No cóż, później możesz sobie przejrzeć ich taśmy, na których znajdziesz kilka dodatkowych szczegółów, ale ogólnie polega to na tym: Genro Kir i dwóch jego kompanów, wylądowali tu kilka lat temu. Nie wiedzieli, że ta planeta została już odkryta i nie udało im się wykryć żadnych śladów naszej obecności. My również jakoś ich przegapiliśmy, za co powinniśmy dać głowy.

Pokiwał smutno głową.

– W każdym razie, sprawdzili planetę, stwierdzili, że nadaje się ona do ich celów i postanowili, że Koree Buron i Sira Nal, mogą ją wykorzystać jako planszę do gry. Zdaje się, że mieli kiedyś jakiś zakład, a ich ostatnia gra nie przyniosła rozstrzygnięcia. Obie z zainteresowanych cywilizacji, załamały się.

Po chwili przerwy, mówił dalej.

– Każdy z nich wybrał sobie fragment zamieszkałej części wschodniego kontynentu, jako swoją podstawową bazę. Buron wziął wschód, co pozostawiło zachód Nalowi. Akurat tak się stało, że środkowa część kontynentu jest trudna do pokonania, co odpowiadało ich planom. Oczywiście, pamiętasz te pustynie i pasma górskie? No cóż, na ile zdołałem to do tej pory stwierdzić, przed przybyciem naszej wspaniałej

trójcy, rzeczywiście nie było żadnych kontaktów pomiędzy obiema częściami. A po ich przybyciu, oni sami już upewnili się, że takich kontaktów nie będzie. Dopóki nasi dzielni chłopcy nie będą tego chcieli.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Oczywiście, pustynie mogą zostać pokonane, na góry można się wdrapać, ale naszych trzech chłopaczków poprawiło tę niedogodność, tak że tego rodzaju próby skończyłyby się śmiercią każdego z tubylców, który by je podjął. Potem, każdy z obu współzawodników, zabrał się do pracy nad rozbudową potencjału militarnego swojej części kontynentu. W międzyczasie, Genro działał jako sędzia. Sprawdzał postępy każdego z konkurentów, upewniał się, że żaden z nich nie zakrada się na terytorium drugiego, żeby coś mu tam popsuć. Albo czy żaden nie popełnia żadnego innego naruszenia reguł.

Banasel ześlizgnął się ze swojego stołu.

– Jak widzę, panowała atmosfera wzajemnego zaufania.

– Dokładnie.

– A skąd się biorą ci kondariańscy kapłani?

– Ach, ci dwaj nie mieli zamiaru ograniczać końcowego etapu swojej gry, wyłącznie do jednego kontynentu. On stanowi tylko ich punkt wyjściowy, bazę. A to, co robią teraz, to tylko przygotowania do otwarcia gry. O jej końcu zadecyduje przejęcie kontroli nad całą planetą. Sira Nal po prostu zabrał się do tego, by wcześniej wystartować, i to wszystko.

– I to jest zgodne z regułami tej ich gry?

– Przypuszczam, że tak. Zgodnie z taśmami Kira, on sądzi, że to mądre posunięcie. „Dobry ruch”, jak on sam to określił. – Lanko wstał i podszedł do reproducera. – Oczywiście, to wszystko, wynika tylko z ich taśm.

– A co jeszcze powiedział ci Kir?

– Tak mało, jak to tylko było możliwe.

Banasel spojrzał na więźnia.

– Dlaczego nie chcesz współpracować? Pomimo wszystko twój los zależy od Aldebarana. A niewielka pomoc teraz, mogłaby uczynić wszystko łatwiejszym dla ciebie i dla twoich partnerów, w przyszłości.

Warga Genro Kira wywinęła się pogardliwie.

– Tak jak to już powiedziałem twojemu kumplowi, nie będę się poniżał, współpracując z bandą prymitywów niskiej rangi.

– Widzisz teraz, o co mi chodziło? – Lanko przekrzywił brew w stronę Banasela. – Wydaje mi się jednak, że nasz przyjaciel pomimo wszystko i tak nam pomoże. Ten „dobry ruch”, który zarejestrował, niemal na pewno pozwoli nam złapać jednego z graczy.

– O?

– No pewnie. Co jest podstawą całego tego kultu Kondaro?

– Chyba to, że znają się na nawigacji. Utrzymują ścisły kordon bezpieczeństwa wokół wykorzystywanych metod. Wymuszają je poprzez zastraszanie. Twierdzą, że nikt inny nie jest w stanie pokonać Wielkiego

Morza, i ugruntowali powszechną opinię, że mają co do tego rację. Tak więc zdzierają haracz z żeglarzy, kupców i armatorów.

– Zgadza się. Ponadto twierdzą również, że potrafią pokonać zaklęcia i moce morskich demonów, które próbują zniszczyć każdy statek, żeglujący po morzu. Przede wszystkim jednak wykorzystują znajomość nawigacji. Gwarantują przeprowadzenie statków przez morze i z powrotem. Prawda?

Banasel skinął głową.

– Przypuśćmy teraz, że zaczną tracić statki? Przypuśćmy, że od tej chwili żaden statek nie wróci już do portu? – Lanko przeszedł przez pomieszczenie do konsoli ze sterami.

– Hej, zaczekaj chwileczkę. Wiem, że ci kapłani, to w gruncie rzeczy banda zbójów, a w każdym razie przynajmniej niektórzy z nich. Ale przecież nie możemy…

– A kto mówi tutaj o odbieraniu życia? – Lanko rozłożył szeroko ręce. – Mamy tutaj bardzo sympatyczną grupę wysp – wskazał ręką na ekran widokowy. – Oczywiście, nie ma na nich zbyt wiele miejsca, ani żadnych rozkoszy życia miejskiego. Ale jest woda, dostępne są duże ilości świeżych owoców. Statki zaopatrzone są całkiem nieźle w prowiant, ale generalnie zawijają tutaj po drodze, po te znakomite owoce. A więc, musimy udzielić im tylko niewielkiej, niepożądanej pomocy.

– Parę katastrof statków?

– Coś w tym stylu.

Banasel z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Podkopywanie ich reputacji w ten sposób, zajmie bardzo dużo czasu – sprzeciwił się. – A zanim byśmy to skończyli, na tych wyspach mielibyśmy całe tłumy ludzi.

– Oj, chyba nie. Kondaro jest bogiem, pamiętasz? A bogowie są nieomylni. Sira Nal może wyjaśnić kilka zniknięć, za pomocą oskarżeń o bezbożność i brak szacunku, ale musiałby wymyślić coś znacznie lepszego, żeby załatwić zbyt wiele takich przypadków. Wydaje mi się, że normalne straty, spowodowane nagłymi sztormami, mniej więcej wyczerpują jego możliwości w tym kierunku.

Lanko pokręcił głową i kontynuował.

– Nie, Sira Nal będzie musiał coś zrobić, żeby zapobiec rozchodzeniu się plotek, głoszących że bóg morza traci swoją kontrolę. – Zrobił chwilę przerwy. – A jak myślisz, który statek wybrałem, żeby potraktować w ten sposób?

– O, nie! To za wiele zbiegów okoliczności!

– Nie, nie do końca. Potrzebowaliśmy sporo czasu, żeby sprowadzić tutaj naszego chłoptasia. – Lanko pokazał głową w stronę Genro Kira. – A portem macierzystym Bordeklu jest Tanagor, tak więc dawny statek Musy nie spędzi zbyt wiele czasu na postoju w Kneuros. Ich rozkład powinien nam całkiem nieźle pasować. Musa, nie chciałbyś zobaczyć znowu swojego starego przyjaciela Dontora, co? Popatrzeć sobie jak próbuje uratować swój statek przed prawdziwym niebezpieczeństwem?

Zęby Musy błysnęły w wilczym uśmiechu.

– To mogłoby być naprawdę zabawne – zgodził się z Lanko.



Dontor pewnie kroczył w stronę drabiny prowadzącej na pokład obserwacyjny. Niewolnicy przygotowali już zasłonę, i kapłan dumnie spoglądał na statek, którego był rzeczywistym i absolutnym panem. Powoli, w majestatycznej ciszy wdrapał się na drabinkę i przecisnął się przez przejście w kurtynie.

Doszedł na środek forkasztelu i stanął, czekając aż dwaj młodsi kapłani, zajmą swoje pozycje koło niego, a niewolnicy postawią skrzynie z przyrządami. Niewolnicy wyprostowali się i stali ze złożonymi rękami, czekając. Dontor sprawdził cały teren, a następnie władczo skinął głową.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Zajmijcie swoje stanowiska.

Kiedy niewolnicy odeszli, trójka kapłanów otworzyła należące do nich skrzynie z przyrządami, wyciągając instrumenty nawigacyjne. Alnar podszedł do składanego stolika, rozłożył na nim mapę, a następnie wyciągnął ze swojej skrzyni zegarek i trzymając go w ręku, cofnął się o krok.

– Już niemal czas, panie,

– Bardzo dobrze.

Dontor obrzucił spojrzeniem młodszych kapłanów, zobaczył że Kuero ma już przygotowany sekstans i uniósł także swój.

– Teraz – poinstruował ich, gdy odczyty zostały już zakończone, – Każdy z was niezależnie obliczy naszą pozycję. Kiedy skończycie, sprawdzę wyniki waszej pracy. – Odłożył sekstans do skrzyni, a potem poprowadził małą procesję z powrotem do kabin.

Sprawy na statku, podążały swoim rutynowym, niezakłóconym biegiem. Młodsi kapłani zgłosili się do Dontora z wykonanymi obliczeniami. Ich praca została sprawdzona, wysunięte zostały co do niej odpowiednie uwagi, a w końcu została przyjęta. Na pokładzie *Bordeklu*, wszystko było w jak najlepszym porządku.

Główny kapłan przestudiował mapy i podjął decyzję co do kursu, w czasie następnej wachty. Statek, pomyślał sobie, musi gdzieś zawinąć po wodę. A niektóre z tych wyspiarskich owoców, dobrze będą smakować na stole. Wyznaczył odpowiednio kurs i ruszył na pokład, aby przekazać instrukcje pilotowi.

– Czy masz zamiar zacząć pomagać im już drodze?

– Nie ma takiej potrzeby, chyba że spróbują ominąć wyspę. Ale kiedy zajmą się kotwiczeniem, będą mieli naprawdę mnóstwo kłopotów.

Morze przed statkiem było zupełnie spokojne. Jasnego błękitu nieba, nie mąciła nawet żadna chmurka. Powoli, na horyzoncie pojawił się zamglony kształt, który później zaczął stopniowo rosnąć, by w końcu zmienić się w małą, porośniętą drzewami wyspę.

Statek ciągle płynął poprzednim kursem, podchodząc do skrawka lądu i zbliżając się do linii przyboju. Zabrzmiały ostre rozkazy i żagle załopotały, tracąc wiatr. Załoga na przednim pokładzie poluzowała linę mocujacą i kotwica dziobowa wpadła z pluskiem do wody.

Statek szedł naprzód siłą rozpędu, i lina kotwiczna napięła się. Pomimo wysiłków sternika, statek nadal poruszał się do przodu. Lina na dziobie szarpnęła, a następnie poluzowała, wlokąc kotwicę za sobą. Nadal jednak statek nie chciał skręcić. Pośpiesznie załoga tylnego pokładu rzuciła kotwicę rufową. Statek jednak z uporem podążał poprzednim kursem. Wszyscy marynarze na dziobie rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia, kiedy dziobowa lina kotwiczna pękła z głośnym trzaskiem i smagnęła z wściekłością poprzez pokład. Statek utrzymywał swój powolny ruch naprzód.

Z szaleńczym pośpiechem, załoga rzuciła się ponownie do żagli, próbując je rozwinąć, by złapać choćby najmniejszy podmuch wiatru. Sternik zakręcił kołem, w ostatecznym wysiłku, by zawrócić statek z powrotem na morze, potem rzucił spojrzenie na rufę, na napiętą linę kotwiczną, i uskoczył szukając schronienia.

Za burtę pośpiesznie rzucono kotwice alarmowe, jednak statek nadal zmierzał w stronę plaży. Stępka zaszurała po piasku, ale statek ciągle szedł do przodu, jak gdyby zmęczony już morzem, jak gdyby zdecydował się wrócić do lasu. W końcu, zaklinowawszy się dziobem między drzewami, statek zatrzymał się, wbity daleko w piaski plaży.

Oczywiste było, że tam już zostanie.

Dontor stał, spoglądając w stronę morza. Pokręcił głową, popatrzył do przodu, a potem na dół, na znajdującą się pod statkiem ziemię. To przekraczało wszelkie granice jego doświadczenia. To wykraczało również poza zakres wiedzy, tak pieczołowicie wtłaczanej mu w głowę, w salach lekcyjnych, w Tanagorze, a później zdobywanej w czasie tych wszystkich długich dni i nocy, kiedy był młodszym kapłanem. Nauczono go mówić o morskich demonach i objaśniać ich działania, ale nie powiedziano mu, że ma w nie uwierzyć.

Zastanawiał się, czy wielki Kondaro naprawdę istnieje, a jeżeli rzeczywiście tak było, to co on mógł sobie pomyśleć o Dontorze, i o statku, który kontrolował od tak niedawna. Przez głowę przemknęła mu myśl, że prawdziwy bóg, mógłby nieco krytycznie podchodzić do działań swoich morskich kapłanów.

– Coś – zadumał się na głos, – trzeba będzie zrobić, aby zapobiec tej utracie wiary.

*– **N**o dobrze – stwierdził Lanko, wyłączając z trzaskiem promień ściągający. – To była pierwsza garść piasku wrzucona im w tryby.*

Sira Nal niecierpliwie zabębnił w stojący przed nim stół.

– Myślałem, że potraficie prowadzić rutynowe operacje – oznajmił zjadliwie. – A teraz opowiadacie mi, że tracicie statek za statkiem. Co się z nimi stało?

Wysokiej rangi kapłan pokręcił przecząco głową.

– Nie byliśmy w stanie tego się dowiedzieć, panie.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że nie masz żadnych wiadomości odnośnie ich losu?

– Wysłaliśmy statki poszukiwawcze, panie.

– I?

– Nie zgłosiły się z powrotem, panie.

Policzki Sira Nala lekko pobladły ze wściekłości, kiedy przyglądał się swojemu podwładnemu.

– Miron – warknął, – nie mam zamiaru dyktować ci dokładnie co trzeba zrobić, albo jak. Powinieneś wiedzieć, jak postępować w sytuacjach alarmowych, nie wołając mnie za każdym razem, kiedy wydarzy się coś wykraczającego poza rutynowy bieg spraw. Jutro rano chcę mieć dokładny raport na temat tych statków. – Wyjrzał przez okno. – Nie interesuje mnie jak, ale masz się dowiedzieć, co się stało. I nigdy więcej nie chcę już słyszeć, jak przyznajesz się do tego, że nie możesz doliczyć się jakiegoś statku, o który cię pytam. Czy to jasne?

Miron przytaknął z nieszczęśliwą miną.

– Tak, panie.

Skłonił się i wycofał z pomieszczenia.

Kiedy delikatnie zamykał za sobą drzwi, zmusił się do stłumienia gniewu. Przez chwilę stał z zaciśniętymi pięściami, omiatając wściekłym wzrokiem panele na ścianie.

– Jak? – pomyślał. – Jak on może oczekiwać ode mnie abym wiedział, co dzieje się na morzu, jeżeli nie przypłynie do mnie jakiś statek z informacjami, albo nie zdołam wyprawić się tam osobiście. I jak on może oczekiwać ode mnie, że sprawdzę to osobiście w ciągu jednej nocy?

Ruszył korytarzem.

– Nie mam żadnych ponadnaturalnych mocy, i on dobrze o tym wie. To on jest prorokiem. Żałuję, że kiedykolwiek…

Rozejrzał się po otaczających go ścianach, a następnie pokręcił głową. Tego typu myślenie, nic mu nie da. Nikomu jeszcze nie udało się opuścić służby Kondaro. Ruszył dalej po schodach, potem wspiął się po drabinkach, by w końcu dotrzeć do platformy obserwacyjnej na

wierzchołku świątyni. Kiedy do małego pomieszczenia, tuż pod pochodnią wszedł jego przełożony, obserwator skłonił się nisko.

– Czy przypłynęły jakieś statki?

– Nie, panie. Nie widziałem żadnych żagli.

– Przyślę ci jeszcze tutaj akolitę. Jeżeli zobaczysz cokolwiek, wyślij go natychmiast do mnie. – Miron odwrócił się i poszedł z powrotem do swojej kwatery.

Po wyjściu Mirona, Sira Nal przez jakiś czas siedział, wpatrując się bez przerwy w zamknięte drzwi. Wychwycił bijącą od podwładnego falę frustracji oraz wściekłości, i przez jakąś sekundę miał ochotę mu odpowiedzieć. Zmusił się jednak do opanowania, przyznając że kapłan ma trochę racji. Potrafił zorganizować posiadane siły we właściwy sposób –– był użytecznym narzędziem, w obrębie swoich ograniczeń.

– Zastanawiam się – zadumał się Sira Nal, – czy to Buron zadał ten podstępny cios. – Przekrzywił głowę. – To byłby mały faul, ale jednak mógłby czegoś takiego spróbować. – Przejrzał w myślach zasady, na które obaj się wcześniej zgodzili.

Pomimo wszystko ta faza operacji odbywała się poza jego strefą bazową, i prawdę mówiąc, wystawiony był na ewentualny atak, nawet w tej wczesnej fazie. Założył, że na tym etapie, Buron będzie za bardzo zajęty rozwijaniem swojego własnego terytorium, aby poświęcić choćby odrobinę czasu na ruch ofensywny. Oczywiście, bezpośrednia interwencja była nieco nieetyczna, ale Buron mógłby jej spróbować.

Myślał, że jego przeciwnik będzie za bardzo zajęty, aby zauważyć ruch w tej odległej części planszy. A przecież również i on utworzył tę wysuniętą bazę, poprzez swoją bezpośrednią interwencję. Jeżeli Buron to zauważył, jeżeli sprawdził metody użyte przez Nala, mógł poczuć się usprawiedliwiony, mógł poświęcić nieco czasu na szybki, niszczący ruch. A Sira Nal zmuszony był przyznać, że taki ruch może być zaaprobowany przez Kira. Mógłby zostać nawet oceniony i uznany za wspaniały błyskotliwy kontratak.

Zerwał się na nogi, krążąc niespokojnie po pomieszczeniu. Jeżeli był to ruch Burona, to kapłani byli bezsilni i nie byli w stanie mu się oprzeć. Oczywiście, wymagałoby to podjęcia bezpośredniego działania przez gracza. Mówił sam do sobie.

– Nie mogę pozwolić, aby ta robota została zmarnowana. Zmarnowałem na to za dużo czasu. Będę musiał osobiście sprawdzić, co się tam dzieje.

Podszedł do okna, otworzył je i stanął na balkonie.

Na dworze, port błyszczał w promieniach słońca. Właśnie wychodził w morze jakiś statek, z żaglami ustawionymi tak, by chwytać wiejącą od cypla bryzę. Sira Nal popatrzył ponad miastem, w stronę stoczni. To była może drugorzędna baza, ale znakomicie zorganizowana, a w przyszłości prawdopodobnie mogła rozwinąć się w bardzo wartościową placówkę.

Jakoś wątpił, czy Buron byłby w stanie zrobić to równie dobrze, biorąc pod uwagę czynnik czasu. Pokręcił głową. Nie, musi to jakoś ocalić.

Odrzucił do tyłu niewygodną szatę, sprawdził przypasany ekwipunek i poprawił ustawienia osłony osobistej. Potem dał krok z balkonu, włączając swój modulator lewitacyjny. Zrobił kółko nad wypływającym statkiem, z aprobatą odnotowując to, co się działo na pokładzie, a następnie ruszył ponad morze, podążając trasą, którą nakazał pływać nawigatorom. Gdzieś tam na morzu, bez wątpienia znajdzie Burona, przygotowanego do uderzenia w każdy statek, noszący czerwono złote barwy Konadaro.

Zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy go już w końcu odnajdzie, będzie musiał przygotować kontruderzenie, które wymusi nietykalność jego morskich tras komunikacyjnych. Pędząc nad morzem, zastanawiał się nad różnymi możliwościami.

Musa siedział przez detektorem, leniwie obserwując rozmyte kształty, rozrastające się i znikające na ekranie monitora. Skaner, jak objaśniał mu Lanko, wychwytywał widmowe obrazy gorących mas powietrza, albo chmur, ale odróżniał je od rzeczywistych obiektów, i nie wyświetlał na ekranie określonego kształtu, dopóki w zasięgu nie znalazło się ciało materialne. Wtedy wskazywał jego odległość i azymut, porównywał wykryte ciało z predefiniowanymi danymi i włączał selektywne obwody powiększające.

Kiedy Musa obserwował monitor, na ekranie pojawił się morski ptak, którego sylwetka rysowała się ostro, na tle ciemnego morza. Ekran urządzenia śledził go przez moment, a potem ponownie wrócił do trybu skanowania. Pojawił się kolejny obiekt, który zdawał się wyłaniać spod powierzchni morza. Musa popatrzył na niego z ciekawością, i zauważył, że ma ekranie pojawiły się wędrujące znaczniki odległości. Urządzenie otrzymywało obiekt w centrum monitora. Pojawiła się słaba jasna obwódka, zasłaniająca szczegóły obrazu, i w legendzie wyświetliły się dodatkowe oznaczenia. Musa odwrócił się do tyłu.

– Banasel! – zawołał. – Co to może być?

Banasel był właśnie zajęty swoją zwykłą rozrywką, czyli majstrowaniem przy sprzęcie. Uniósł głowę i rozejrzał się, a potem szybko podszedł do ekranu, aby dokonać odpowiednich korekt ustawień. Obraz obiektu wyostrzył się, ukazując człowieka w szatach Kondaro. Odległość i kierunek były widoczne wyraźniej, a w miejscu legendy pojawił się wykres. Banasel spojrzał niżej, na tarcze przyrządów.

– Hej, Lanko – zawołał, – mamy klienta.

– Gdzie? – Lanko wyszedł z pomieszczenia mesy.

– Azymut mniej więcej siedemdziesiąt jeden, obiekt rzeczywisty i zbliża się szybko. Odległość, jakieś sto kilos. – Banasel pokręcił tarczami, oglądając efekty na ekranie. – Wygląda, jakby nasz przyjaciel przybył na spotkanie.

– Osłony?

– Osobista osłona ciała. Prawdopodobnie Morei Dwanaście. Nic specjalnego.

Lanko usiadł w fotelu na stanowisku uzbrojenia i walnął w przycisk. Ekran obserwacyjny rozjaśnił się, wyraźnie pokazując zbliżający się obiekt. Przekręcił gałkę, wzmacniając powiększenie.

– Cały wystrojony w te swoje ceremonialne szaty – roześmiał się głośno. – Ten dzieciak mógłby sobie całkiem nieźle radzić jako projektant odzieży.

Skorygował ustawienia kilku potencjometrów, sprawdzając cały czas odległość. Potem sięgnął ręką do uchwytu emitera.

– Nie ma sensu teraz z nim tego wszystkiego dyskutować. Możemy z nim porozmawiać później, kiedy już go złapiemy.

Ustawił cienkie jak włos linie na ekranie monitora tak, by przecinały się pośrodku zbliżającej się postaci, a następnie nacisnął spust.

Sira Nal poczuł jakieś nagłe szarpnięcie. Z rozdrażnieniem sięgnął do pasa, żeby podkręcić swoją osłonę na pełną moc. To było już bardzo niesportowe zagranie. Buron z pewnością powinien wymyślić coś lepszego, niż uciekać się do osobistego ataku. Takie działanie mogło być powodem do protestu, i Sira Nal mógłby domagać się odpowiednich rekompensat.

Zapatrzył się przed siebie, przeszukując wzrokiem morze. Okrąg horyzontu z przodu, przerwany był przez delikatną chmurkę, która wskazywała położenie wysp, ale nie było żadnego śladu jego przeciwnika. Pokręcił głową i próbował zwiększyć wysokość, lecz jego osłona zaczęła się załamywać. Nagle uświadomił sobie ciepło wydobywające się z futerału przegrzewającego się generatora. Zdecydowanie coś było tutaj nie tak. Sięgnął po swoją broń ręczną, równocześnie nadal szukając wzrokiem przeciwnika. W końcu zauważył lekkie migotanie, prosto przed sobą. Wycelował w tamtą stronę w broń.

– Spokojnie, spokojnie – ostrzegł go jakiś głos. – W ten sposób mógłbyś się poważnie zranić. Opuść swoją osłonę i zachowuj się rozsądnie. To jest latacz straży. Jesteś aresztowany i znajdujesz się pod działaniem promienia ściągającego.

Sira Nal zorientował się już, że jest ściągany do przodu promieniem trakcyjnym. Futerał jego generatora niebezpiecznie się nagrzewał.

Został pochwycony!

Z wściekłością pomyślał o atakach, które on sam wykonywał na tym samym terenie, w podobny sposób. Ciągle jeszcze pamiętał sparaliżowany grozą wyraz twarzy jednego z armatorów, tuż przedtem, zanim jego statek rozpadł się pod nim na kawałki.

Ale oni nie mogli go w żaden sposób dopaść.

Nie byli w stanie.

On zaś mógł zmieść tych agresorów ze swojej drogi wystrzałem blastera. Tak jak zmiatał wcześniej tych pyszałkowatych tubylców, którzy ośmielili mu się sprzeciwić.

Przesunął kciukiem ustawienia broni na pełną moc, wycelował ją w znajdujące się z przodu lekkie migotanie, i nacisnął spust.

Lepiej niech te wścibskie typy sami na siebie uważają.

Banasel skrzywił lekko, spoglądając na rozprzestrzeniającą się kulę ognia, która po chwili uniosła się w niebo, tworząc dużą chmurę.

– Mogłeś go puścić – zaprotestował. – Wystrzał nawet by specjalnie nie wstrząsnął naszą osłoną, a potem mógłbyś go znowu złapać.

– Wiem – Lanko przerzucił przełączniki uzbrojenia i odchylił się do tylu, pocierając sobie skronie. – Była taka możliwość, i absolutnie miałem zamiar go puścić. Ale czasu na podjęcie decyzji było piekielnie mało, i prawdę mówiąc te jego myśli trochę na zbyt długo mnie przytłamsiły. Ten chłopak był naprawdę niebezpieczny!

Zwrócił się do Genro Kira, który z przerażeniem i fascynacją przyglądał się nadal rosnącej chmurze na ekranie.

– To naprawdę nieszczęśliwy wypadek. Spróbujemy złapać twojego drugiego wspólnika żywcem.

– Zabiliście go! – Kir wyglądał jakby miał zaraz zwymiotować.

– Nie. My go nie zabiliśmy. Powinien wymyślić coś lepszego, niż strzelanie w promieniu ściągającym. Muszę przyznać, że troszeczkę zaspałem. Założyłem, że on jest trutniem zwyczajnego typu. Nie zorientowałem się w pełnym zakresie jego aberracji.

Lanko wstał ze swojego fotela i przeszedł przez pomieszczenie, aby stawić czoła więźniowi.

– Słuchaj, Kir. Nie wiem, czy twój drugi wspólnik jest człowiekiem podobnym do niego, czy nie. Myślę jednak, że nadszedł czas, abyś mi trochę pomógł. Gdybyś dał nam jakiekolwiek wskazówki odnośnie osobowości Sira Nala i jego prawdopodobnego miejsca pobytu, może udałoby nam się podjąć odpowiednie środki ostrożności. Mógł być teraz razem z nami tutaj. Chyba że oglądanie twoich przyjaciół zamieniających się w chmury płonącego dymu, sprawia ci przyjemność?

– Czy chciałeś powiedzieć że… że to ja jestem za to… odpowiedzialny?

– Częściowo. Pomagałeś im. Odmówiłeś jakiejkolwiek pomocy przy ich zatrzymaniu. A przecież wiedziałeś, że ich złapiemy, tak czy inaczej.

Kir skierował na ekran przerażone spojrzenie.

– Co mogę zrobić?

– Połącz się z Koree Buronem. Opowiedz mu o tym co się tutaj stało. Powiedz mu, że będziemy go szukać, oraz że w ciągu kilku najbliższych godzin powinien dołączyć do nas Strażnik Sektorowy. Wyjaśnij mu, że niebawem zaczniemy go szukać przy pomocy namierników kierunkowych i że każda próba użycia przez niego osłony osobistej, uzbrojenia, albo nawet oddziaływań mentalnych, zostanie zauważona i zaprowadzi nas prosto do jego osoby.

Po chwili przerwy mówił dalej.

– Kiedy się nawiążesz z nim kontakt, to jeżeli sobie tego życzysz, my możemy włączyć się do rozmowy. Możemy go zapewnić, że szybko

zostanie schwytany, chyba że ma zamiar zaakceptować rolę tubylca –– przy tym tubylca bardzo niepozornego, pozbawionego jakiejkolwiek władzy i wpływów.

Wzruszył ramionami.

– Powiedz mu, że może swobodnie do nas przyjść i poddać się, w czasie najbliższych dwudziestu godzin, planetarnych. Po tym okresie będzie poszukiwany z wykorzystaniem wszystkich możliwych środków. Możesz go zapewnić, że po upłynięciu terminu poddania się, jego życie będzie miało, zarówno dla nas jak i dla Strażnika Sektorowego, mniejsze znaczenie niż życie najbardziej nawet maluczkiego tubylca.

Podszedł do stołu na którym leżało urządzenie.

– Proszę, oto jest twój wzmacniacz mentalny, jeżeli go potrzebujesz.

Genro Kir popatrzył na podawane mu kółko, a potem powoli wyciągnął rękę. Wziął urządzenie, przez kilka chwil obracał je w rękach, i niepewnie założył sobie na głowę.

Nagle jego twarz stężała ze zdecydowaniem i usiadł na chwilę w milczeniu, z ponurą miną. W końcu uniósł wzrok.

– Połączyłem się z nim. Trochę ze mną próbował dyskutować, ale nie ma atutów w ręku, i dobrze o tym wie. Będzie tutaj w ciągu godziny, z opuszczonymi osłonami.

KONIEC